

Bruno, Sted i okoliczności ¹

1.

Mówimy nie „Brunona”, lecz właśnie „Bruna”. Ojciec i matka Bruna byli Mielczewscy, brat Henryk, słynny bokser, siostra, żona i dzieci też, a jemu wpisano do metryki urodzenia nie wiedzieć czemu Milczewski. Niemcy. „Żebyś milczał?” – żartował Bruno całkiem serio, bo od małego uważał się za używającego słów bardziej niż inni. To zrobił urzędnik analfabeta, który chciał przechytrzyć los. Bruno sugerował, że tak właśnie ręka komunizmu zmienia nazwiska, lekkim dygnięciem usuwając samogłoski typu „e”, bo kwestionujące... Gdyby usuwała „a”, toby atakowała dyskutujących. Taką miałem teorię i on ją zaakceptował z diabelskim uśmiechem, bo miał na myśli również znaczenie samogłosek „o”, „y”, „u” oraz „i”, szczególnie w krzyżących formach zdań. Żadnych egzaltowanych „ą” i „ę”, te niech będą zarezerwowane dla gogusiów z pseudoelit, a szczególnie przydatne im będą „om” zamiast „ą” oraz „ę” zamiast „om”. Pytanie do półgłówka: Idioto, „matką” czy „matkom”?

Na imię miał Ryszard, a Brunem ktoś go nazwał w szkole. Po paru dniach przeżywania wściekłości nagle jednak przekonał się do tego nazwania i przy nim został. Słyszałem o Brunie grubo przed 1969 rokiem, a dowiedziałem się, że istnieje na pewno, gdy zobaczyłem go w klubie „Hybrydy” przy Mokotowskiej w Warszawie. Odbywał się tam konkurs poetycki zorganizowany przez „Orientację Poetycką Hybrydy”. Siedziałem na twardym krześle obok Edwarda Stachury i Andrzeja Babińskiego, który po chwili wstał, a Marysia Wasilewska, moja koleżanka ze studiów lekarskich, która mnie na tę Mokotowską zaciągnęła, korzystając z luki powstałej między mną a Stachurą, z tylnego rzędu krzeseł wsunęła głowę, wcisnęła do ręki książkę i zażądała, żebym dał mu do podpisu tom *Dużo ognia* („Dla Marii od Stachury Edwarda”). Sama nie miała śmiałości, dla niej zbiór ten był „sufitem niebios”, jak to określiła, a Edek pewnie kandydatem na świętego, tak jej zdaniem odmienił poetycką polszczyznę. Siedząca obok kobieta, nie czując, że jest wśród ludzi, kiwnęła nagle głową z aprobatą i odpowiedziała głośno jakiejś swojej myśli: „Zgadza się, to jest nowe”. Nagle oprzytomniała i zakryła ręką usta, a Stachura, podpisując tomik dla Marysi, życzliwie się uśmiechnął.

Poza salą zrobił się rumor. Babiński bowiem wyszedł na korytarz i bełkotliwym głosem głośno się z kimś kłócił, nie bacząc na powagę imprezy. Awantura była coraz głośniejsza. Wtedy zza kolumny, podpierającej przejście do salki barowej, wpadł między widzów Bruno. Tam waliły się jakieś mury sporu, a ten spokojnie przeszedł do stolika, przy którym brylował i monosylabami zabawiał publiczność Jerzy Leszin-Koperski, jednocześnie niejasno dyskutując z Jarkiem Markiewiczem o czymś, o czym wiedzieli tylko oni. Tadeusz MocarSKI² z kamienną

¹ Pełny tekst. Druk w: *Teraz oto jestem. Edward Stachura we wspomnieniach*. Wybór i oprac. Jakub Beczek. Bellona, Warszawa 2020, str. 265-314. Niepełny tekst drukowano w: „*Twórczość*” nr 7-8, 2019.

² Tadeusz MocarSKI (ur. 1943) – poeta, autor reportaży.

twarzą i zmrużonymi oczami ruchem głowy wskazał przejście na podest. Andrzej Szmidt³, poeta już znany jako autor wiersza *Taki pejzaż*, z którego w piosence Zygmunta Koniecznego⁴ skorzystała Ewa Demarczyk⁵, najpierw kulił się w kącie sali, a teraz elastycznie wyprostował swą wysoką postać i przeglądając luzem zebrane kartki, gotował się do wygłoszenia referatu, znacznie wyprzedzając ustalony w zaproszeniach porządek dnia.

Oczy zebranych skupiły się na Szmidcie, ale sytuację momentalnie przebudował Bruno.

Jednym szerokim gestem wyciszył dyskusję prowadzących spotkanie i zagadał po swojemu, grasejując, troszkę sepleniąc, połykając sylaby, ale świetnie akcentując słowa we frazach. Wskoczył na stopień scenki i wyjął pustą kartkę. Rozprostował, pokazał, że jest czysta. A był to wiersz. Wiersz mówiony z pamięci tak, że czuliśmy gotującą się wyobraźnię, wrzącą intencję. Czysty sens, zrozumiałe emocje i gry językowe, skomplikowany, melodyjny wywód, przełamywany w tak niespodziewanych momentach, że sala zamierała, a krzyków z bocznej salki jakby już nie było słychać. Bruno skończył i się zsunął między krzesła, niemal padając twarzą na parkiet, oparł się na łokciach, Babiński zaś na chwiejnych nogach wrócił z sąsiedniego pomieszczenia i coś krzyknął. Sala była oburzona. W jego ruchach i chrząkaniu było coś, co magnetycznie przykuwało uwagę i zarazem budziło niechęć. Jako laureat jednej z nagród właśnie celebrowanego konkursu wszedł teraz przed zgromadzonych na miejsce po Brunie i odczytał przez zęby tekst swojego utworu, chwiejąc się w kolanach. Tłum był coraz bardziej zdenerwowany, bo nikt niczego nie zrozumiał, ale wtedy Edek Stachura wyrwał się z widowni i wystąpił w obronie. Powiedział w kilku mocnych słowach o tragedii poety. Każdego poety, gdyż każdy, kto poetą jest, sam siebie swoją własną poezją zabija. Stachura zrobił to w tak prosty sposób, że ludzie z krańca wściekłości wpadli w kraniec zachwyty. Tylko jedna drobna, ubrana na biało mieszcanka nie pojęła i zabrała się do wychodzenia, klnąc śmiesznie pod nosem. Zanim całkiem znikła, zdążyła powiedzieć: „A ja bym temu Babulskiemu nakopała w portki”. „Babińskiemu” – ktoś ją poprawił, więc się odcięła: „Tym gorzej dla niego”.

Bruno odzyskał pozycję pionową i w czasie buntu przeciw Babińskiemu stał z boku estradki, wymachując ręką na znak, że się zgadza, szczególnie ze Stachurą. „Mój druh” – oznajmił.

Aż nastąpiła kulminacja wieczoru. Edward Stachura ponownie wszedł na scenkę, usiadł na wysokim, czarnym krzeselku barowym i z największym spokojem przeczytał minipoemat *Flinta*⁶, krótszy niż w później drukowanej wersji, to znaczy bez długiego wstępu napisanego prozą. Zastąpił ten fragment jednozdaniowym streszczeniem. Mimo to całość była jasna i zrozumiała.

³ Andrzej Szmidt (1933-2006) – poeta, redaktor miesięcznika „Więź”, przedstawiciel pokolenia „Współczesności”.

⁴ Zygmunt Konieczny (ur. 1937) – kompozytor, autor muzyki teatralnej i filmowej, związany z krakowskim kabaretem Piwnica Pod Baranami.

⁵ Ewa Demarczyk (ur. 1941) – piosenkarka, związana z Piwnicą Pod Baranami.

⁶ Pierwodruk poematu ukazał się w 1968 roku w warszawskiej „Kulturze” (nr 9).

Flinta. Wiersz o ucieczce z miasta, z twierdzy, wiosną 1917, z brutalnego świata stworzonego przez poetę w sennych wyobrażeniach ze strzępów wiedzy historycznej, z celi do świata ratunku, stworzonego przez siebie lub wybranego dla siebie, w którym można się uspokoić i odetchnąć pełną piersią (i „wy” razem z poetą też). Wiersz dynamiczny, brzmiały niczym program życiowy, w podtekście antysystemowy, przeciwrządowy, choć ani słowa w nim, o który reżym chodzi, choć jedno słowo, które sugeruje, że chodzi o reżym sowiecki; liczba „1917” jest słowem wielce znaczącym; wiersz o wyzwaniu siebie przez osobę dramatu w biegu po dachach kamienic ku barykadom; jednak brzmiały jakby był niedokończony, niedopracowany, z niewytłumaczonym tytułem, niczym potok słów napisany w chybliwym autobusie, zanim ten zamrze przy chodniku.

Nic bardziej fałszywego. To jest ten przypadek, że to musi być rozchwiane. To ta sytuacja, w której głupiejają najlepsi znawcy poezji, tacy, którzy idąc śladem poglądów Ziemowita Fedeckiego, są na przykład gotowi uznać piosenki Steda za pomyłkę artystyczną, za słabe i niegodne powielania. Zapomnieli, że tekst piosenki nie jest poezją, że to inny gatunek, który ma odrębne zasady semantyczne, strukturalne i dźwiękowe, i Stachura wiedział o tym lepiej niż oni. Że pisząc tekst piosenki trzeba myśleć zupełnie inaczej niż myśli poeta (niektórzy poeci tak potrafią, dlatego piszą genialne piosenki; ale potrafią też niektórzy niepoeci). To samo z wierszami, na przykład takimi jak *Flinta*. Albo: świat jest odczłowieczony, dlatego wielu nie rozumie ani nie akceptuje nut sentymentalnych w *Przystępuję do ciebie* czy *Po ogrodzie niech hula szarańcza*. Nut koniecznych, chwytających za serce i mózg, ale dla niektórych – ogłupiających (trudno, są niedbale przez Boga skonstruowani). Tak głupio usłyszeli w Paryżu i gdzie indziej, kiedy burzliwy maj 1968 wszystko poprzewracał do góry nogami i funkcję kołysania mózgu odebrał uczuciu i przekazał narkotykom. Ale ciekawe: już w prozie Stachury to im się podobało i podoba do dziś. Ludzie, wróćcie do siebie, do uczuć, do prostych odruchów, jakże ludzkich i potrzebnych, abyśmy się nie stawiali drapieżnikami! (W tym miejscu niniejszego tekstu wymieniłem plejadę nazwisk, ale osoby te jeszcze żyją, więc wykreśliłem, bo wciąż mają szansę się nawrócić).

Ci, co dzisiaj lekceważą *Flintę*, zapominają, że to odrębny gatunek, Stachurowy, niczyj więcej, i taki rozwichrzony ma pozostać po wsze czasy. Ten wiersz ma swoją właściwość, a przez pozorną formalną niedoskonałość (tak jak fizycznie oszalała jest każda z pozoru prostolinijna ucieczka) wyzwala emocje, których bez rozwichrzenia pod żadnym pozorem by nie było. Silnie uderza w sumienia oportunistów. Niech ktoś poda jakieś choćby pojedyncze, a prawdziwe argumenty przeciwko piosenkom Stachury i przeciwko *Flincie*. Zawsze słyszę lub czytam: słabe. Ale nie dowiaduję się, dlaczego autor takiej opinii tak twierdzi. Nie potrafi uzasadnić, bo on czuje w sercu coś tam swojego, do czego się przyzwyczaił, a co nie pozwala mu na umysłowy kontakt z nowym lub innym. Tylko że to emocja, odczucie bez pokrycia, nie myśl doskonała. Jeżeli piszesz, że coś jest słabe, to dodaj, że tak ci się wydaje, że tak ci dyktuje serce, i nie udawaj, że to wyszło z rozumu, analizy, syntezy, porównania, koncepcji, teorii, tezy.

Kiedy zapadła cisza, siedzący w pobliżu Krzysztof Mrozowski (1943-2017), przejęty wizją

pokonywania niewoli, i w ogóle podjęciem tej kwestii w wierszu wypowiedzianym w PRL-u publicznie, nachylił się ku mnie, objął za szyję i szepnął z zachwytem, tak żeby wszyscy słyszeli: „Słyszałeś, jak ten facet nabroił? To niebywałe!”. Stachura przez chwilę szukał wzrokiem, kto to powiedział, ale Mroza już nie było, gdyż jak podejrzewam, poszedł myśleć o *Flinicie* gdzieś w samotności, bo w tamtych dniach podobnego impulsu bardzo potrzebował. A może już układał replikę pogłębiającą?

Cztery lata później, 15 maja 1973 jechałem do wojska. Spoglądałem na wezwanie z sowiecka zwane pawiestką, czyli na nakaz stawienia się w miejscu docelowym, i na dołączony papier zwalniający od opłat kolejowo-pekaesowych, i widziałem zamiast nazwy miasta imię: Ryszard Milczewski-Bruno. W Wojskowej Komendzie Rejonowej (WKR) na Mokotowie, która ów papier wystawiła, znaczyło to jednak: Grudziądz. Oni o żadnym Brunie nie słyszeli. „Ale usłyszają” – myślałem.

Po pożegnaniu żony i córeczki oraz kolegów lekarzy i koleżanek pielęgniarek w oddziale chorób wewnętrznych Szpitala Wolskiego w Warszawie ruszyłem więc autostopem na wygnanie. Nie miałem zamiaru korzystać z państwowych środków wywożenia ludzi. Czułem się zesłany i chciałem się czuć nieszczęśliwy, pognębiony. Jechałem na gapę, ciężarówkami, samochodami dostawczymi, śpiąc w nocy pod przydrożnymi krzakami. Bo próbowano mnie zastraszać. Przed wyjazdem wezwano na rozmowę do centrali Wojskowej Służby Wewnętrznej (WSW) i zapytano wprost, czy wiem, za co idę do wojska. Odparłem, że do wojska nie idzie się za coś, tylko z miłości do Ojczyzny. Oficer ze złości się zaczerwienił, ale nie wydał żadnego dźwięku. Po chwili odzyskał rezon. Orzekł, że jeszcze poznam, co to jest ojczyzna, gdyż za jaką karę idę w kamasze, to on ma czarno na białym w papierach i w wolnej chwili precyzyjnie sobie to przeczyta.

Istotnie, mógł takie papiery mieć, gdyż przewinień miałem sporo, poczynając od ojca w Armii Krajowej, na plakatowych akcjach antysowieckich skończywszy; od wypowiedzi na spotkaniach literackich, na wspomaganiu tajnej drukarni skończywszy. Dziś wiem, że jeden z drukarzy, Piotrek S., mój kolega z podstawówki, z którym przez cztery lata siedziałem w jednej ławce, był wieloletnim donosicielem bezpieki, o wszystkim im pisał, nieudolnie tworzył moje dossier. Moim zdaniem donosy Piotrka nie miały znaczenia zasadniczego. Znaczenie miało co innego. W rzeczywistości karę miałem odbywać z zemsty osobistej.

Przyczyną była sprzeczka słowno-ręczna ze świeżo upieczonym teściem mojego przyjaciela Janka Leona Śpiewaka, syna Jana Śpiewaka⁷ i Anny Kamieńskiej⁸, brata Pawła⁹, o piątej nad ranem na weselu w podwarszawskiej willi, gdzieś w okolicach Powsina. Teść Janka był wpływowym generałem, ale rozumu nie miał za grosz i wdał się w przykry spór z młodzieńkiem poetą i lekarzem ze Szpitala Wolskiego w Warszawie. W sumie nic mu się śmiertelnego nie stało, był mocno napity, nic nie bolało, ale odczuł ogromne upokorzenie. Wiekopomne. Ryczał

⁷ Jan Śpiewak (1908-1967) – poeta, eseista, tłumacz.

⁸ Anna Kamieńska (1920-1986) – poetka, prozaiczka, krytyk literacki, tłumaczka.

⁹ Paweł Śpiewak (ur. 1951) – socjolog, publicysta.

jak zarzynany. Jak to żołnierz – nigdy nie przyznał się do porażki. Jednak jak to komunista obmyślił rewanż, który miał przekreślić moje życie, i to o trzysta sześćdziesiąt stopni. Albo i pięćset.

Miałem do wyboru Modlin lub Grudziądz, jedno miejsce gorsze od drugiego ze względu na skomplikowany dojazd. Szczególnie obawiałem się Modlina, który wydawał mi się wyspą odciętą od świata, taką małą polską syberią (choć w pobliżu Warszawy). Ponieważ inny delikwent, mianowicie kolega doktor Mirosław X. (nazwisko było znane autorowi, ale zostało na śmierć zapomniane), taki sam przeznaczony na odstrzał jak ja, też prawdopodobnie z przybrudzoną kartą życiorysu, wyskoczył z gwałtowną prośbą o przydział do Modlina, natychmiast zgodziłem się na Grudziądz, miasto słynące z Wisły, Bruna, postoju ciała Juliusza Słowackiego (kiedy płynęło na Wawel 22 czerwca 1927 roku), dziesiątków pułków rozmaitego sortu, wsi wojskowej Grupa, raków w zakolach porzecznym i długodystansowca Bronisława Malinowskiego (czwarte miejsce na trzy kilometry z przeszkodami na igrzyskach w Monachium), którego mylono z równie słynnym, ale specjalistą od życia seksualnego dzikich, też znad Wisły, ale krakowskiej.

Potem się okazało, że Grudziądz da się kochać także za więzienie dla kobiet, które codziennie mogłem oglądać z okna mojego pokoju. Właśnie w tym więzieniu w 1974 Edward Stachura miał spotkanie autorskie i poniósł sromotną klęskę. Słuchaczki nie chciały go słuchać. Chciały go mieć. Umalowały się i uczesały. Przyniosły z sobą na salę konferencyjną narzędzia do zabawy w doktora, w tym masturbatory wykonane z pończoch wymodelowanych po wypełnieniu gotowanym pęczakiem i ususzeniu do stanu półtwardości. Kilka pań dla niepoznaki machało polskimi flagami umieszczonymi na patyczkach po lizakach, jedna miała w ręku biblioteczny tomik poety. Wyciągały po Steda łapy, wzywały, wyzywały, nawoływały, szczekliwie komentowały, rwały się z pazurami i gdyby nie strażę, byłyby go w końcu zjadły. Wyrażały się wprost jasnymi słowami na „k”, „p”, „s” i „d”. Czuł się niczym zgwałcony, tak w każdym razie mówił, ale nie jestem pewien, czy nie było w tym trochę kokieterii. Mimo wszystko przez trzy dni był po tym chory. Wstawał wcześniej rano, zanim wyszedłem do pracy, i bez kęsa chleba, o jednej szklance wody aż do mojego powrotu spędzał czas na rozważaniach, po czym kładł się spać. Powiedział wtedy znamienne słowa: „Wszystko jest poezja z wyjątkiem tych chwil, kiedy nam się tak wydaje”. Zapisałem je sobie, przydały się w czerwcu 1978.

Tak czy inaczej działo się to później, a jesteśmy w pierwszej połowie 1974. A jeszcze wcześniej, na wiosnę 1973, wysiadłem z przygodnej ciężarówki gdzieś pośrodku Grudziądza. Miasto to wydawało mi się długie i kręte jak kiszka, z osiową ulicą Świerczewskiego, którą jeździł jednotorowy tramwaj z mijankami, i mając plecaczek w jednym ręku, torbę z ręcznikiem w drugiej, zapytałem pierwszą osobę na ulicy o Bruna. Pokazano mi palcem wysoki blok i wyrecytowano adres: Kalinkowa 55, numer mieszkania 10. Tam też poszedłem. Zastałem ładną, postawną kobietę w moim wieku, czyli Irenę, i dwoje dzieci, czyli jak się później dowiedziałem: Sławka i Anię. Powitała mnie niechętnie, z nutką wrogości, widać nie lubiła tych nieznajomych, którzy zaglądają z Polski do męża.

Zabrałem się więc do jednostki wojskowej numer 4512 (za kryptonimem tym krył się grudziądzki pułk drogowo-mostowy, podlegający dywizji modlińskiej), gdzie w błyskawicznym tempie przebrano mnie za oficera Wojska Polskiego, lekarza pułku w służbie okresowej, podległego starszemu lekarzowi pułku, porucznikowi Grzegorzowi Grandemu, który miał nade mną tę zasadniczą przewagę, że studiował medycynę w łódzkiej szkole wojskowej, a nie w cywilnej, i to warszawskiej, co w czasie mojego pobytu w tym przybytku wielokrotnie łaskawie oznajmiał dowódca pułku, kiedy tylko miał przyptyw nienawiści do mnie. Na pewno był też instruowany przez gumowe ucho, który z kolei był instruowany przez Warszawę, i tak dalej byli oni instruowani według swej hierarchii. Smród idzie za człowiekiem. Dowódca przestał wygadywać takie rzeczy, kiedy mu wspomniałem, że byłoby świetnie, gdyby sobie częściej robił badanie elektrokardiograficzne ze względu na wątpliwy kształt załamków QRST. Zaskoczył go ten kryptonim. Nie wiedział, co mam na myśli, ale przestraszył się nie na żarty, że zechcę go wysłać do cywila z powodu prawdziwej czy rzekomej choroby serca. Od tego momentu na wszelki wypadek zaczął mnie dopieszczać, pozwalać na wszelkie ekstrawagancje, takie jak opuszczanie codziennych szkoleń politycznych, kilkudniowe niebyty w jednostce, chodzenie w mundurze bez czapki albo w trampkach, czy specjalne życzenia żywieniowe. W kuchni byłem królem. Zaczęli robić dla mnie frykasy. Czy w tamtych czasach ktoś słyszał o krewetkach? A nasi kucharze słyszeli i je przyrządzali ze względu na specjalny stosunek dowódcy do mojej skromnej osoby. Serce, trzeba mieć serce – jak to dwuznacznie czasem brzmi.

Mimo poczucia krzywdy od samego początku pobytu rozumiałem więc, że wykształcenie i umiejętności dają mi pewną przewagę nad żołnierzami z poboru lub awansu, przede wszystkim zaś nad pułkownikami bez wykształcenia wyższego i strasznymi sierżantami, powszechnie zwanymi zlewami. Z poezją, prozą, pracami dla radia i miłością do teatru wolałem się jednak nie wychylać. To mogłoby mi wręcz zaszkodzić. Wystarczyło, że artystą w Grudziądzu jest Bruno, a obok niego jeszcze parę innych osób z wyobraźnią i etykietką osoby dziwacznej.

W mundurze byłem na Kalinkowej 55 dwa dni później w południe. Gwiazdki na pagonach wzbudziły nieco więcej zaufania, Irena była już milsza, ale Bruna nie zastałem. Wyjechał „w Polskę”, jak powiedziała. Można by dodać: „w Polskę alkoholską”. To była piękna i bystra osoba. Jeszcze parę słów i w tył zwrot. Nie wiadomo, kiedy Ryszard wróci, gdyż „mąż nikogo nie informuje”.

Dzięki przyjaznym koleżankom pielęgniarcom z Izby Chorych, wchodzącej w skład Pułkowego Punktu Medycznego, szczególnie Bogusi Rubach, wynająłem małeńkie poddasze cztery metry na dwa i pół, bez wody i kanalizacji, ale tanie i z pewnym zapasem węgla. Wpłaciłem też właścicielom za cały rok 1973 i do końca czerwca 1974. Z jednostki pobrałem koce, poduszki, pościel, łP nr 1 (łóżko polowe wzór numer jeden), dwa materace (jeden na łóżko, drugi pod łóżko – to było genialne pociągnięcie ze względu na przyszłych gości), w pobliskim sklepie kupiłem wiadro, miednicę, grzałkę, żarówki, drwa i podpałki do piecyka zwanego kozą, i tym podobne wyposażenie, a na ścianie nad drzwiami naprawiłem kołchożnik, przez właścicielkę budynku zwany kukuruźnikiem, który, jeśli się go włączyło prztyczkiem

potencjometru, nadawał program pierwszy Polskiego Radia, rzecz bardzo cenną, gdyż nie miałem zegarka, bo mnie ktoś okradł (dobrze, że nie zabił), kiedy pewnego dnia, a właściwie pewnej nocy, północy, po północy, w pijanym widzie zasnąłem na przystanku Państwowej Komunikacji Samochodowej (PKS).

Była wiosna dziwaczna, niemajowy maj. Nagle spadł deszcz, a potem chwycił ostry mróz. Ślizgawka w całym mieście spowodowała złamanie dwudziestu miednic i trzech kręgosłupów. Chwilami trzeba było iść na kolanach albo czołgać się na brzuchu. U Bruna zostawiłem kartkę z adresem: „Doślizgaj się na Nadgórną 5, nad brzegiem Wisły, u szczytu szczytowego spichrza, na wprost bramy więziennej”. Liczyłem na to, że gdzieś może czytał moje pojedynczo wówczas drukowane wierszyki, albo słyszał w radiu słuchowisko, i otarł się o moje imię, a wobec tego odezwie się jak do znajomego... Znajomego poety... Poeci się skrzykują przecież na całym świecie. Rozpoznają się w tłumie po tym, że są poetami. Tak, kto nie jest poetą, ten tego nie zrozumie, ale to prawda.

Nowi koledzy wojskowi przyglądali mi się podejrzliwie, bo wojskowi się bez munduru nie rozpoznają, a ja najczęściej właśnie byłem ubrany po cywilnemu jeszcze. Pistoletu też jeszcze z magazynu nie pobrałem. Wpadłem jednak na pomysł, żeby się wkupić tym, czym zwykle się ludzie wkupują, aby z góry nie wyrokowano, że kapują. Wynająłem salę w kantynie, nabyłem wódkę i zakąski i zaprosiłem z jednostki kogo się dało. Przyszedł nawet dowódca, trunki piechotą nie chodzą, warto skosztować. Udawał, że nie pije, ale w pewnym momencie odwrócony tyłem do mnie nie wytrzymał i wychylił pół szklanki. Potem drugie pół, i tak już poszło. Zaprzyjaźniłem się przede wszystkim z wędkarzami. Po paru kielichach już trzech chciało mi pożyczyć sprzęt.

Pewnej środy mocno zawiany wracałem o północy z czapką wojskową obróconą daszkiem na kark i dużym szumem w uszach. Nie wiadomo, jak włożyłem na piętę do mojej dziupli. Zastałem w szparze drzwi bilet tramwajowy z napisem: „Poeto całkiem, całkiem do rzeczy! byłem, Brunek! i będę, Brunek!”. Więc był! Wrócił z wojaży. Natychmiast oprzytomniałem. Oto słynny, wspaniały poeta osobiście raczył odwiedzić mnie na Nadgórnej, sam się pofatygował! Wylałem dzbanek wody na łeb, do rana nie spałem, zrzuciłem gabardynowe zielone odzienie, wskoczyłem w normalne i popędziłem na Kalinkową. Cekał na mnie. Siódma rano. Miał na sobie podniszczoną podkoszulkę i nowiutkie wełniane spodnie, poznał z żoną i dziećmi, Sławkiem i Anią, która ledwie jeszcze mówiła. Najpierw zapytał, czy mam z sobą wodę sodową. „Nie, ale skoczę do sklepu”. Skoczyłem. Bruno wypił dwie butelki bąbelków duszkiem, ale potem rozmowa była krótka:

„Musimy się spotkać u ciebie – rzekł – bo trzeba pogadać”.

Jeszcze nie wiedziałem o czym, ale już wiedziałem, że będziemy rozmawiać długo. Raczej nie przy żonie. Nie przy dzieciach. Potem, kiedy już spokojnie wracałem do siebie, oprzytomniłem sobie, że od razu mówiłem do niego „Bruno”, a on do mnie jeszcze szybciej „Piotrek”. Szum w głowie był potężny, i to nie od wódki, ale człowiek w dwudziestym ósmym roku życia mógł wiele znieść bez szwanku. Nie spałem tej nocy, ale w niedzielę odrobiłem, śpiąc

czternaście godzin ciągiem. Uświadomiłem sobie, że swego czasu przeczytałem w „Miesięczniku Literackim”, że Stachura często nie spał po czterdzieści parę, jak ja na dyżurach, to znaczy „przestępczo niszczył siebie”. Jedna noc nieprzespana – dwa miesiące życia mniej. Podobno; nie wiem, kto i jak to wyliczył, ale tak piszą w podręcznikach. Jakaś bzdura, bo człowiek ma fenomenalne zdolności regeneracyjne.

Na początku codziennie byłem wzywany, jak to określano, na rozmówki do grudziądzkiego WSW, a w rzeczywistości na regularne przesłuchania. To było łatwe. Kiedy byłem chłopcem, ojciec uczył mnie, jak zeznawać, nic nie zeznając, i nie dawać się złapać na podstępnych wyrzuceniach. Nie mogłem udawać idioty, przecież miałem niezłe wykształcenie i pewne sukcesy literackie, zwłaszcza poetyckie i radiowe, ale mogłem bujnie opowiadać o niczym. Tak też robiłem. Co to jest „nic” w opowiadaniu, łatwo można zrozumieć, czytając wiersze grafomanów i felietony politruków. Grafoman, jak widać, też jest potrzebny, można się od niego wiele nauczyć. Za stuprocentowego grafomana uważałem na przykład Władysława Machejka¹⁰, redaktora naczelnego „Życia Literackiego”¹¹, a także Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego¹², mimo że napisał chwytającą za gardło (może dzięki melodii Andrzeja Panufnika¹³) pieśń powstańczą *Warszawskie dzieci*, i chociażby Mariana Piechala¹⁴, który nie napisał chyba ani jednego tekstu na poziomie drukowalności, a był noszony przez władzę na rękach.

Tak, to były wzory godne naśladowania w czasie przesłuchań. Gumowe ucho, to znaczy kapitan z Wojskowej Służby Wewnętrznej WSW, swego rodzaju bezpieczeństwa, zawsze ten sam, w okularkach i z wąskim wąsikiem, dość szybko zrozumiał, że ode mnie będzie słyszał wyłącznie banały, ogólniki i bzdury ideologiczne. Wizyty u niego były coraz krótsze. Pięciokrotnie pytał mnie, czy znam Włodzimierza Antkowiaka¹⁵, a ja błędnie wyobraziłem tak bardzo i opowiadałem takie idiotyzmy, że facet uwierzył, że znam, ale nic nie powiem. Nie znałem, ale w końcu zapytałem o to Bruna i okazało się, że Antkowiak jest znaną postacią poetycką Grudziądza i ma awanturniczą przeszłość z czasów obowiązkowej służby wojskowej, zamiast włosów nosi perukę, bo ma jakieś zmiany skórne na czaszce, pisuje niezłe wiersze, jest niezwykle chybotliwy emocjonalnie i można z nim gadać, ale nie da się na niego liczyć.

Na kolejnym przesłuchaniu oświadczyłem kapitanowi, że powiem mu, czy znam Antkowiaka, jeśli WSW zaprzestanie rewizji w moim pokoju przy Nagórnej 5 w czasie, kiedy

¹⁰ Władysław Machejek (1920-1992) – prozaik, reportażysta, publicysta, działacz komunistyczny.

¹¹ „Życie Literackie” – tygodnik społeczno-literacki o zasięgu ogólnopolskim, wydawany w Krakowie w latach 1951-1990.

¹² Stanisław Ryszard Dobrowolski (1907-1985) – poeta, publicysta, prozaik, przed wojną był współorganizatorem grupy literackiej „Kwadryga”.

¹³ Andrzej Panufnik (1914-1991) – kompozytor, dyrygent, w latach 50. XX wieku opuścił Polskę i wyemigrował do Anglii, przez wiele lat objęty zakazem cenzury na wykonywanie i wydawanie utworów, w 1991 roku otrzymał tytuł szlachecki.

¹⁴ Marian Piechal (1905-1989) – poeta, krytyk literacki, satyryk.

¹⁵ Włodzimierz Antkowiak (ur. 1946) – poeta, prozaik, autor książek popularnonaukowych.

mnie tam nie ma. Obiecał, że wyda takie polecenie, ale był ciekaw, skąd o tych rewizjach wiem. Uśmiechnąłem się sardonicznie. I to było dobre pociągnięcie. Uznał mnie za wszechwiedzącego? Na to wyglądało. Nie przyszło mu do głowy, że w szparę drzwi wkładałem zapałkę, a w maszynie do pisania luźną kartką zaścianałem kawałek tekstu wkręconego na wałku tak, że było widać tylko jedno słowo. Codziennie po moim powrocie z pracy albo po biesiadzie w knajpie zapałka leżała na podłodze obok progu, a w maszynie do pisania zawsze było odstępionych więcej słów. Same się nie odstępowały. Pewnego razu, kiedy mieszkał u mnie Stachura, wrzasnąłem na kapitana, że agenci jego bezpieczeństwa budzą mojego gościa. Zmrużył tylko psie ślepią, przetarł okulary i udał, że tego nie słyszy. Nie wiem, co o mnie napisał w raporcie, ale już nigdy na żadne rozmowy mnie nie wezwał. Gumowe ucho grzecznie się tylko kłaniało, kiedy na niego wpadałem w kantine, kinie albo sklepie, ale rewizji do mojego wyjazdu z Grudziądza już nie było. Sprawdzano tylko, czy ktoś u mnie nie mieszka.

Musiałem wreszcie poznać Włodka Antkowiaka. Przyszedł pewnego dnia z Brunem. Jako lekarz fizjonomista wyćwiczony w rozpoznawaniu chorób, faktów i osób stwierdziłem, że Brunowa charakterystyka tego poety jest idealnie trafna. Włodek zaczął bywać u mnie, nieraz umawialiśmy się pod jego domem przy ul. Fortecznej albo przy stróżówce mojego pułku, naprzeciwko znajdującego się tam szpitala wojskowego. W czasie jednego ze spotkań powiedział, że koresponduje ze Stedem. „Wiesz, Sted, czyli St-achura Ed-ward” – pochwalił się, że wie, skąd się wziął rzekomy pseudonim. Ja to wiedziałem od dawna, ale co mu miałem psuć humor, niech myśli, że to on odkrył tajemnice rzekomego pseudonimu.

„Tak mówią do niego ci, którzy sądzą, że jest ich przyjacielem” – zachichotał.

A korespondencja była ciekawostkowa, to znaczy pełna interesujących drobiazków. Pozornie bez znaczenia, a jakże owocna wtedy i w przyszłości. Najpierw napisał do niego coś obraźliwego, żeby pobudzić odbiorcę, a ponieważ Edek niespodziewanie odpisał, Włodek pociągnął listowną znajomość tak dobrze, że udało mu się go namówić na przyjazd do Grudziądza. Jedynym problemem była potrzeba zorganizowania miejsca pobytu. W mieszkaniu Antkowiaka przy Fortecznej z jakichś przyczyn było to niemożliwe, być może nie zgadzała się na to rodzina Włodka. Hotel i inne przybytki tego rodzaju nie wchodziły w rachubę ze względu na szczupłość naszych finansów, ale gdybyś... – tu Antkowiak wykonał świetny manewr perswazyjny – gdybym to ja, poeta Müldner, obiecał, że wezmę poetę Steda pod dach, dam spanie i zupę, toby była szansa, że przyjedzie. I tym mnie złapał.

2.

Początek stycznia 1974. I rzeczywiście. Stachura przyjechał na dwudniowy zwiad.

Luty, połowa miesiąca. Po koszmarnym poligonie nad jeziorem Drawsko. Mróz ponad trzydzieści stopni Celsjusza, spanie w namiotach. W nocy nastąpił wybuch niezabezpieczonej rakiety sowieckiej, przy której manipulował jakiś ruski idiota. Zginęło wielu ludzi, w tym moich z Pułkowego Punktu Medycznego. Uratowało mnie to, że nie mogłem spać i wyszedłem z namiotu, żeby zapalić papierosa. Oparłem się o drzewo. Od poddmuchu sosna się złamała, ale ja

przeżyłem. Straciłem słuch, krew mi się łała z uszu, nosa i ust. Czołg przejechał dwóch żołnierzy, jak spali w krzakach (pewnie pijani). O świcie na zakręcie szosy niedaleko obozu naszego pułku przewróciła się ciężarówka z cegłami, przeładowana, a czterech żołnierzy, którzy jechali na wierzchu, na tych cholernych ceglach, zginęło pod ciężarem ładunku. Po co komu na ćwiczeniach armijnych cegły? Wszystko się działo w ciągu jednej nocy, wszystko na tych piekielnych ćwiczeniach, przygotowujących do wojny z Zachodem.

Koniec lutego. Stachura. Po dwóch tygodniach, licząc od poligonu i pobytu na laryngologii w szpitalu, kiedy słyszałem już odrobinę lepiej, zastałem kartkę wsuniętą pod drzwi, a na niej napis wołami pismem Antkowiaka: „PRZYJECHAŁ!”.

Materac pod łóżkiem... Tak, to był strzał w dziesiątkę. Strzał, jak w głowę, jak w ucho. Przestałem lubić słowo „strzał”. Kupiłem dwie flaszki dobrego wina, jajka i parówki. Kiedy pojawił się Edek z Włodkiem, wszystko miałem gotowe, z prześcieradłami, kocami, ręcznikami. Ja miałem spać na materacu podłogowym, on łóżkowym. Od ósmej do szesnastej miałem być w wojsku, a to był idealny czas dla piszącego, cały dzień roboczy, jak dla wołu. Rozmawialiśmy do szóstej.

„Słyszysz całkiem dobrze” – pochwalił mnie, zapominając, że w tak maleńkim pokoiku wszystko słyszy się całym ciałem i uszy są niepotrzebne. Spał do wieczora.

3.

Od początku miałem poczucie, że Bruno mnie lubi, na mnie liczy i mnie potrzebuje. Lubił moje wiersze, może raz tylko doradził, abym gdzieś zmienił jakieś słowo. Często znał je na pamięć. Analizował moje pomysły prozatorskie, fabuły dramatyczne, a jeszcze bardziej wieści medyczne, którymi się posługiwał w kontaktach z kolegami lekarzami wojskowymi, których było w Grudziądzu i sąsiedniej Grupie ze dwudziestu. Wypił z nimi niejedną flaszkę. Kiedy nastał tam mój czas, wszyscy byli już przeżarci przez alkohol, zniszczeni. Tak, wojsko niszczy bezlitośnie, wysusza mózg, marszczy skórę, zgina kręgosłup. Często mnie pytał o różne zaskakująco proste, dla mnie oczywiste rzeczy medyczne, które mu sprawiały kłopot, bo nie miał wykształcenia przyrodniczego, ale inteligentnie sobie z nimi radził i potrafił tym imponować. Prosił mnie też o załatwianie kłopotliwych spraw, czasem wręcz intymnych, takich jak negocjowanie z (jego) żoną czy tłumaczenie na posterunku milicji zachowań, które zdaniem ówczesnej władzy były „elementarne” (to jest typowe dla elementu społecznego), a według nas najzupełniej normalne i wynikające z prostej potrzeby imitowania wolności. Mówił mi rzeczy, których nawet tak otwarci ludzie jak on nie mówią wszystkim naokoło.

Pewnego dnia przyszedł po mnie do jednostki wojskowej z paczką herbaty „Yunnan” (wówczas najlepszą na rynku, a były jeszcze dwie: fatalna „Madras” i sianowata „Assam”) i kilka wierszami w kieszeni. Ja miałem już kupioną w pobliskim sklepie maszynkę elektryczną i dwa kubki porcelanowe, idealne do kawy, herbaty i wina. Zrobiliśmy sobie pyszną zupę pomidorową z proszku i do chleba jajecnicę z dziesięciu jaj. Prawdziwa wyżerka.

Opowiadał o ostatnich tygodniach swoich wojaży po województwie (wtedy bydgoskim) i o

najbliższej rodzinie. Wtedy też, po przeniesieniu się z Nadgórnej do „Centralnej”, a stamtąd do „Polonii”, usłyszałem kilkanaście następnych najbliższych mu nazwisk. Do dziś utrzymuję z tymi ludźmi przynajmniej listowny kontakt, chyba że niektórzy, jak na przykład Edek Stachura, Janek Czopik-Leżachowski, Rafał Wojaczek, Krzysztof Nowicki¹⁶ już nie żyją. Wszystkie możliwe życiorysy, Jerzego Pluty, Jerzego Szatkowskiego, Mieczysława Czychowskiego¹⁷, Janusza Żernickiego, Bogusława Żurakowskiego¹⁸, Zbigniewa Bieńkowskiego¹⁹, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Julii Hartwig²⁰, Ludmiły Marjańskiej²¹, Jerzego Harasymowicza, Józefa Barana²², Bronisława Maja²³, Andrzeja Warzechy²⁴, Zbigniewa Jankowskiego²⁵ z Teresą Ferenc²⁶, Urszuli Koziół²⁷, Jerzego Kronholda²⁸... i dwudziestu pięciu innych wspaniałych. Warszawskich poetów już w dużej liczbie poznałem osobiście dzięki Annie Kamieńskiej, Krzysztofowi Karasekowi²⁹, Jerzemu Ficowskiemu³⁰ czy Jerzemu Górzeńskiemu³¹, też Iwonie Smolce³², Danucie Gałęckiej³³, Katarzynie Boruń³⁴, Piotrowi Matywieckiemu³⁵, Wiesławowi Sadurskiemu³⁶, Krzysztofowi Mrozowskiemu, całej redakcji „Nowego Wyrazu” z Janem Witanem³⁷, a potem Januszem Termerem³⁸ oraz Markiem Wawrzekiewiczem³⁹ jako naczelnymi. Coraz ich więcej... Niektórzy zostali moimi pacjentami i są nimi do dziś. Mogłem i ja opowiadać Brunowi...

¹⁶ Krzysztof Nowicki (1940-1997) – poeta, prozaik, krytyk literacki.

¹⁷ Mieczysław Czychowski (1931-1996) – poeta, prozaik, plastyk, członek gdańskiej grupy „Kontrasty”, z którą przez pewien czas związany był również Stachura.

¹⁸ Bogusław Żurkowski (ur. 1939) – poeta, literaturoznawca, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

¹⁹ Zbigniew Bieńkowski (1913-1994) – poeta, krytyk literacki, tłumacz.

²⁰ Julia Hartwig (1921-2017) – poetka, eseistka, tłumaczka, autorka książek dla dzieci.

²¹ Ludmiła Marjańska (1923-2005) – poetka, tłumaczka, autorka książek dla dzieci.

²² Józef Baran (ur. 1947) – poeta, publicysta, członek krakowskiej grupy artystycznej „Teraz”.

²³ Bronisław Maj (ur. 1953) – poeta, krytyk literacki.

²⁴ Andrzej Warzecha (ur. 1946) – poeta, krytyk literacki i artystyczny, publicysta. Członek krakowskiej grupy literackiej „Tylicz”.

²⁵ Zbigniew Jankowski (ur. 1931) – poeta, prozaik, krytyk literacki.

²⁶ Teresa Ferenc (ur. 1934) – poetka, żona Zbigniewa Jankowskiego.

²⁷ Urszula Koziół (ur. 1931) – poetka, powieściopisarka, dramatopisarka, związana z wrocławskim piśmem społeczno-kulturalnym „Odra”.

²⁸ Jerzy Kronhold (ur. 1946) – poeta, dyplomata, członek grupy poetyckiej „Teraz”.

²⁹ Krzysztof Karasek (ur. 1937) – poeta, krytyk literacki, eseista, tłumacz, autor słuchowisk.

³⁰ Jerzy Ficowski (1924-2006) – poeta, prozaik, eseista, tłumacz.

³¹ Jerzy Górzeński (1938-2016) – poeta, prozaik, satyryk, felietonista, członek Orientacji Poetyckiej „Hybrydy”.

³² Iwona Smolka (ur. 1944) – pisarka, krytyk literacki, związana z Polskim Radiem.

³³ Danuta Gałęcka-Krajewska (ur. 1947) – poetka, tłumaczka.

³⁴ Katarzyna Boruń-Jagodzińska (ur. 1956) – poetka, publicystka, tłumaczka.

³⁵ Piotr Matywiecki (ur. 1943) – poeta, eseista.

³⁶ Wiesław Sadurski (ur. 1940) – poeta, artysta-plastyk.

³⁷ Jan Witan (1943-2002) – eseista, krytyk literacki.

³⁸ Janusz Tremer – krytyk literacki.

³⁹ Marek Wawrzekiewicz (ur. 1937) – poeta, dziennikarz, tłumacz, prezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich.

Dużo było wnikliwych i fachowych rozmów o Bolesławie Leśmianie⁴⁰, cytowania z pamięci jego wierszy. Bruno twierdził, że jest z niego, ale go nie kopiuje; tylko myśli tak jak on, tylko język widzi leśmianowsko jako narzędzie zapisu świata, i planował postawić mu pomnik koło grudziądzkiej fary. „To tylko kwestia zebrania pieniędzy, bo artyści wykonawcy znajdują się sami” – twierdził. Nie wypiliśmy wtedy ani jednej kropli alkoholu, jedynie oranżadę na sacharynie i na zakończenie każdej doby jedliśmy po sporej porcji flaków zamojskich. O czym wspominam, bo wielu barbarzyńcom Bruno kojarzy się wyłącznie z wódką. Nie znają się na rzeczy. Picie to co innego niż rozmowa, choć przyznać trzeba, że często się krzyżują. Choć – dodajmy jeszcze – przyznać trzeba, iż pijak nad pijaki Ireneusz Ireduński uważał, że Bruno nie umie pić, bo zamiast wódką się uszlachetniać, po pijanemu wpadał w tarapaty albo do przydrożnego błota, a to pocie nie przystoi, żeby nie wiem jak był zalany.

Razu pewnego Bruno czekał przy bramie jednostki wojskowej, w której cierpiałem. Zawiózł mnie taksówką nad rzekę Trynkę, przejechaliśmy obok fary, przez plac, na którym Bruno chciał postawić pomnik Leśmianowi, pod dom, w którym Bruno się urodził i gdzie łapał szczury, a gdzie mieszkała jego matka i siostra Betty, obie bardzo sympatycznie egzaltowane, wreszcie do Tarpna na golonkę. Wydał kupę pieniędzy, prawie sto złotych (dzisiejszych dziesięć) na wóz, ale kierowca nam to darował i forszę oddał, tak go ujęło zaproszenie na kawal wieprzowiny. Wiedział, że wozi poetę, a nawet dwóch. W nagrodę otrzymał odręcznie napisany wiersz z dedykacją. Dziś eksponat muzealny, o ile ów kierowca inteligentnie to w przezroczystej folii zachował. Dziś te „poetyckie pieniądze autentyzmu” mają wartość ogromną, a znają je nie tylko w Grudziądzu, bo w Świeciu, Chełmnie, Toruniu, jakichś śląskich i małopolskich dołach i górach, mazurskich wykrotach, lubuskich winiarniach. „Wrywki z ksiązek”, kartki z wierszami i podpisem Bruna zawsze sprawdzały się jako zapłata za kieliszek lub jajeczko w knajpie, a nawet – jak w naszym przykładzie – za przejazd taksówką. Trzeba by wznowić ten sposób na przeżywanie życia, jeśli kto nie ma pieniędzy...

„Dwieście razy uratowałem się, płacąc prawdziwą poezją” – powiedział wtedy Bruno.

Widzieliśmy się codziennie. Ja bywałem u niego, on u mnie. Poznawał mnie z przyjaciółmi, z Leonem Grajewskim⁴¹ (ten też to czyta już z tamtego świata), z Włodkiem Antkowiakiem, z wieloma innymi, mniej piszącymi, a jeśli już, to skargi na sąsiadów. Były dni, że łapałem się na mówieniu jego językiem i myśleniu jego myślami. Nawet wiersze bym pisał podobne do tych jego, tak był zaraźliwy, tak łatwy do zaakceptowania i zrozumienia, jeśli się żyło z nim i chodziło bok w bok. Niektórzy rzeczywiście inaczej nie potrafią i do dziś są Brunami-wtórnikami. Ale ja wiem, pamiętam, co Bruno powtarzał nieustannie: „Trzeba być sobą. Pisać siebie. Pisanie pod kogoś innego to zdrada własnych genów”. Tyle że już pierwsze z nim spotkanie dało oczywistą pewność: Bruna naśladować się nie da. Później tylko się w tym utwierdzałem. Bruno był jeden jedyne.

⁴⁰ Bolesław Leśmian (1877-1937) – poeta, eseista, tłumacz.

⁴¹ Leon Grajewski (1923-1981) - artysta malarz, scenograf, poeta, nauczyciel.

4.

Antkowiak przyprowadził Stachurę do mnie na Nadgórną, pogadał trochę i sobie poszedł, gościa zostawiając na moją pastwę. Od razu pokazałem dostojnemu przybyszowi w dżinsach, gdzie jest mój materac (podłóżkowy), a gdzie jego (nałożkowy), gdzie się schodzi do toalety niczym ubikacja wagonowa bez lustra, ale z pociętą gazetą jako papierem specjalnej troski, gdzie czajnik, jak palić węgiel w kozie, skąd bierzemy wodę, gdzie jest gałka od kołchoznika, gdzie papier do maszyny do pisania i jak ją uruchamiać. Miejsca mało dla nieporadnych, ale bardzo dużo dla globtroterów, którym za sypialnię wystarczy stopień schodów.

5.

Rozmaitym niepisany, nieplanowanym i zaskakującym szaleństwom nie było końca. Codziennie działo się coś, co tamten czas niepomniernie we wrażeniach i w pamięci wydłużało, zupełnie odwrotnie niż ten czas, który się ma w więzieniu, a który zlatuje błyskawicznie: w mamrze dwadzieścia pięć lat to tyle co dwadzieścia pięć tygodni. Ponieważ w Grudziądzu i okolicach istnienie niesamowicie się zagęszczało, czas był sześciokrotnie dłuższy niż gdzie indziej. I tak na przykład dnia 24 czerwca 2000 r. wyjąłem z pamięci i napisałem o pewnej koniecznej wyprawie z Grudziądza do Kołobrzegu, która się odbyła w roku 1974 wiosną [List Piotra Müldnera do Lecha M. Jakóba, pisany w Podkowie Leśnej, opublikowany m. in. w: *Müldner & Jakób. Korespondencja literacka Lecha M. Jakóba i Piotra Müldnera-Nieckowskiego publikowana na łamach kwartalnika „Łabuź” w latach 1998-2007*, wyd. Adam Marszałek, Toruń 2010, str. 59-61]. Brzmiało to mniej więcej tak (trochę dodaję, trochę poprawiam, trochę urywam).

Nagle, a był chyba kwiecień, gdy zostałem wysłany na kontrolę sanitarną jakiegoś straszego poligonu sapersko-drogowo-mostowego w okolicy Blachowni na Śląsku, Sted zniknął, zostawiając kartkę wkręconą do maszyny do pisania: „Jestem niedaleko w K., daj szybko znać”. Wróciłem do Grudziądza i przeczytałem, a potem zasiadłem niemo przy stole i zakołatało pytanie: Co za „K.”, do cholery? Chodziło mi po głowie tylko jedno słowo, bo w wojsku tylko ono się kojarzyło z tą literą, ale że Sted pod latarniami raczej nie bywał, na dziwki nie chadzał, zaznaczyłem na mapie (wojskowej rzecz jasna) wszystkie pomorskie K. I wyszło, że Stachura jest w K.

Wpatrywałem się w stoik z naklejką „Barbacuá. Yerba mate, la merced, cosecha limitada” i w końcu przypomniałem sobie długą rozmowę z Edkiem o ludziach z Kołobrzegu, którzy wiedzieli, jak się argentyńską yerba mate przyrządza i że trzeba mieć do tego termometr. Nie wolno jej zalewać wodą gorętszą niż osiemdziesiąt stopni Celsjusza, bo traci moc pobudzającą, smak i siły magiczne. Słowem rozmowa ta skończyła się tym, że my w Grudziądzu herbatę z liści i gałązek ostrokrzewu peruwiańskiego przywiezioną przez Edka z Argentyny czy Meksyku będziemy mieli tylko na widoku, a więc całkiem bezproduktywnie. To był Stachurowy talizman,

przypominający Amerykę Południową i Środkową – z Meksykiem w Północnej. Słoiak nietknięty stał na wyraźnej półce, a słowo „Kołobrzeg” w myślach wybrzmiało...

Ale nadal nie byłem pewien, o które miasto chodzi naprawdę: rzeczywiście Kołobrzeg czy może raczej Koszalin albo jakieś Karlino? Zapomniałem, naprawdę, to mi się zdarza nader często. Nazwisk też nie pamiętam. Lepiej pamiętam krzywe elektrokardiograficzne i potrafię je skojarzyć z twarzami tych, u których je wykonano. To pewniejsze niż nazwisko.

Pojechałem więc na oślep sanitarką, która mi przysługiwała jako lekarzowi pułku, z sanitariuszem jako kierowcą (oficerowi nie wypadało) oczywiście do K., z tym że zahaczyliśmy jeszcze o A., B., C., D., E., F., G., H., I. i J., jak to bywa, kiedy wszędzie są zielone budki z piwem i wesoła kompania na poczekaniu. Jazda trzydniowa.

W Kołobrzegu na pytanie uliczne, gdzie można spotkać Steda, ktoś odpowiedział z uśmiechem, że „Pod Cycem”, co miało znaczyć „szukaj wiatru w polu”, chyba że Sted to Stachura. Sanitariusz, starszy szeregowy Żemajtis Antoni, nie w ciemną bitą radził, żeby jednak wskoczyć pod ten cyc („cieplej będzie, choć goło” – zauważył), bo mu się browar setnie znudził i miał smak na wódkę. Oczywiście za resztki mojego żołądka, bo był jeszcze bardziej goły niż kobitka na zdjęciu przyklejonym obok kierownicy. Wygłodniały był też po męsku nieprzytomnie i miał ochotę rzucać się na wszystko co żeńskie, a że wódeczka ma coś z baby (powala z nóg), zasiedliśmy w owej knajpie, dobierając żółty serek ze słodką papryką „na sypano” i tradycyjnie ostrygi po polsku, gdyż ułatwiają prześlizg alkoholu porcjami do żołądka. Jakoż po drugiej połówce (fachowo: 0, 5 l) pod owym „Cycem” (prawdziwej nazwy spelunki nie pomnę) przy kontuarze rozgorzała awantura. I co? Ano to: przybył E. S. z gitarą i chlebakiem i wszczął spór o to, że takich gości jak my, przy stoliku przy oknie, gorzałką z czerwoną kartką się nie traktuje.

To on! Ruszyliśmy pędem ku niemu, aby się wyściskać!

Edek zwykle prawie nie pił, ledwie dla towarzystwa, więc sobie wziął kielich bikawera, czyli byczego wina węgierskiego, a na stół wskoczyła żubrówka z sokiem malinowym – czegoś tak ohydneho nigdy przedtem ani potem nie piłem. Potem pod osłoną nocy zsuwałem się co chwila do morza, a E. S. i sanitariusz cumowali mnie, jak potrafili. Normalnie łeb mam raczej mocny i trudno mnie ściąć, lecz może ów sok nie był z malin, ale z anilin? Skończyło się dobrze, na noszach w sanitarce, którą wróciliśmy do G. jak Pan Bóg przykazał. Wszystko to trwało moment, a do dziś siedzi w pamięci jak imiona ojca i matki.

Tak, z Edkiem udawaliśmy się na różne wyjścia i wyjazdy, pamiętne były nadwiślane spacer, a przede wszystkim błyskawiczny wyjazd do Stachurowej mamy na skraj Aleksandrowa Kujawskiego. Po drodze zahaczyliśmy o Ciechocinek, tradycyjnie weszliśmy na jedną z tężni, gdzie aparatem Edka zrobiliśmy sobie kilka zdjęć, odwiedziliśmy też Janusza Żernickiego i parę innych osób, których nazwisk ani twarzy już nie pamiętam.

Zimno było, choć śnieg wszędzie już stopniał, ale dlatego pojechałem w wyjściowym mundurze podporucznika, że był ciepły i dość wygodny, nie musiałem go też specjalnie szanować; gdybym go zabrudził, żołnierze w Izbie Chorych załatwiliby momentalne pranie z prasowaniem. Strój ten budził w Ciechocinku tyleż pewną sensację, co niestety także i

nieufność. Żernicki powiedział, że ludzie słabo odróżniają wojsko od milicji, bo w grudniu 1970 roku w Gdyni, Gdańsku, Szczecinie i Elblągu, a i gdzie indziej też, role obu tych formacji mundurowych zostały przez władze trwale zrównane. Wojsko strzelające do cywilnych ludzi zohydzono Polakom już ostatecznie.

„Wszystko to bezwzględna dyktatura – powiedział Żernicki. – Nie ma w demoludach kraju bez dyktatury. Ruscy nas pchają na wschód przez samo wdrażanie marksizmu. A marksizm to mundur dla mózgu”.

Edek spuścił głowę i nie reagował. Palił tylko jednego papierosa za drugim. Było mu wstyd za mnie z powodu munduru? Czy też po prostu myślał o czym innym? Był zajęty pisaniem w głowie, jak to on? Wszystko jest poezja. Politykę miał za nic, Polskę też średnio, choć po polsku pisał. Jak miałem się bronić... W mundurze przeczyć temu, co ten mundur znaczy? Mundur nie polski, ale sowiecki? I to ja, który za opór przeciwko władzy zostałem w ten mundur siłą wbity? A Polskę kocham bardziej niż siebie. Poczułem się nieswojo, nie wiedziałem, jak się odciąć, jak odrzucić niesprawiedliwe aluzje Janusza, przecież brzmiałyby w moich ustach spod czapki wojskowej niewiarygodnie. Ale kiedy potem jechaliśmy przygodną ciężarówką do Aleksandrowa, raptem osiem kilometrów (jazda trwała powolnie, jakby było ich osiemset), Edek uspokajał:

„Skończysz z wojskiem, skończą się twoje problemy. Może cię zwolnią z powodu słuchu”.

Miał rację, tak się stało. W końcu czerwca rzeczywiście wyszedłem na wolność. Ale zanim to nastąpiło, z Ciechocinka wysłaliśmy kartkę do Włodka Antkowiaka, a tekstowi na niej przekornie nadaliśmy ton z lekka wesoły, więc w sumie nastroje zaczęły się prostować.

Sted już od samego Grudziądza przygotowywał mnie do spotkania z matką. Opowiadał o sobie, o Francji z dzieciństwa, bojach w szkole, o rodzinie i sąsiadach, także o ciotce, siostrze matki, pani Potęgowej, którą cenił przede wszystkim za „tkwiącą w jej duchu potęgę prostoty” (to jego określenia), dla której napisał słynną piosenkę. Nie wspominał tylko o ojcu. Ani słowem. Początkowo nie zwróciłem na to uwagi, ale właśnie to odegrało istotną rolę kilka lat później, w 1979. Był z nim w wielkiej zwadzie, której bezsens zrozumiał, kiedy odchodził z tego padolu. Teraz chodziło o to, że niepokoił się stanem zdrowia matki. Widział z troską, że najbliższa mu osoba się starzeje i coraz mniej może zrobić w chałupie i obejściu.

Przyjechaliśmy na miejsce (widać było stamtąd drewniany domek Marii Potęgowej, nieco wyżej, jakby na wzniesieniu), a pani Jadwiga Stachurowa przywitała nas uśmiechnięta, pełna sił i radości. Wyprosiłem Edwarda z izby i zbadałem mu mamę solidnie, aby oboje poczuli się bezpiecznie. Wypytałem, ostukałem i osłuchałem, a po kwadransie oświadczyłem, że nie wymaga żadnej mojej interwencji, bo znajduje się pod bardzo dobrą, fachową opieką lekarza miejscowego. Dałem kilka porad natury higienicznej (jak dozować i terapeutycznie wykorzystywać wysiłek fizyczny) i dietetycznej (jak panować nad kształtem ciała). Na tym cała moja interwencja się skończyła.

Edek był w siódmym niebie. Należał do tych osób, które cenią tę fachowość i takie umiejętności, o których same nie mają pojęcia. Tak na przykład zawsze wychwalał

samochodową wiedzę i „sprawność rajdową” Janusza Andermana, rozpytywał się nad talentami dydaktycznymi Janusza Żernickiego, doceniał niezwykłą zdolność do manipulowania nazwami własnymi (zwłaszcza geograficznymi, ale i osobowymi) i wykorzystywania ich jako tworzywa poetyckiego przez Bruna czy nadnaturalną umiejętność rysowania Mietka Czychowskiego. Ja byłem dla niego alfą i omegą medyczną i nic tego nie potrafiło zmienić.

Pani Jadwiga w nagrodę wręczyła mi duży kosz z jajkami, wiązanek podobną do palmy wielkanocnej i piękną wełnianą chustę „do ocieplania snów”. Byłem trochę przerażony ogromną liczbą jaj, było ich chyba z sześćdziesiąt, i zastanawiałem się, jak sobie z nimi poradzić nie tylko w podróży, ale i po przyjeździe do Grudziądza.

„Strasznie duże te jaja” – powiedziałem zmartwiony.

„Ale my mamy większe!” – odparł, skandując wypowiedź, Stachura, i obiecał, że pomoże je dźwigać.

Jakoś dotarliśmy bez szwanku, a w wojskowej kantine panie ucieszyły się, że następnego dnia zrobią za darmo śniadaniową jajecnicę dla całej kadry. Honor Polski został uratowany.

Następnego dnia skoro świt Edek już był na dworcu, bo został zaproszony na spotkanie w olsztyńskim Empiku, gdzie miał się odbyć panel dyskusyjny na temat prac malarskich Leszka Sobockiego⁴² okraszony piosenkami Edka. Stachura nie był zadowolony, bo nie chciał być z nikim konfrontowany, nie czuł się też na siłach, aby rozmawiać o malarstwie autora, o którym niewiele wiedział.

„To trzeba najpierw zobaczyć, a żeby zobaczyć, trzeba najpierw trochę pojeździć tu i tam, i trzeba wiedzieć, że się gdzieś jedzie, żeby coś zobaczyć, a nie tylko przypadkowo o coś zahaczyć okiem” – skonfundowany mówił wieczorem poprzedniego dnia.

Ostatecznie pojechał. Wrócił po dwóch dniach i nie dał się namówić na żadne komentarze. Zapytał tylko, jak długo nie będzie mnie w mieszkaniu. Pewnie miał zamiar pisać.

„Nie wiem – odparłem – tyle, ile trwa praca w jednostce w śróde”.

Skrzywił się tylko, był niezadowolony. Tak się zachowywał dość często, w obejściu bywał trudny, ale można to było bez trudu zrozumieć. Sam doskonale wiedziałem, czym jest gniotąca potrzeba natychmiastowego przelania na papier tego, co się zrodziło w głowie. Inaczej bardzo to wszystko szybko wietrzeje, starzeje się, traci moc świeżości-nowości, przestaje zachęcać do pisania, gubi wysmakowane szczegóły. Tak, tak było nieraz, więc parę razy z tego powodu wynajmowałem pokój w miejscowym hoteliku wojskowym, obskurnym, ale dostępnym i przez to wygodnym. Nie trzeba było z sobą niczego brać poza szczoteczką do zębów, mydła i zapasowych skarpetek. Brałem jeszcze zeszyt i narzędzia do pisania. A jemu mówiłem, że mam dyżur w jednostce.

Ale w godzinę później zrozumiałem, co się dzieje z Edkiem. Do jednostki zadzwoniła Małgosia z pytaniem, co robić, bo nasza córeczka Justynka ma wysoką gorączkę, i przy okazji wspomniała, że w Wydawnictwie Literackim odrzucono Stachurze przekłady z Jorge Luisa

⁴² Leszek Sobocki (ur. 1934) – malarz, grafik, eseista, poeta.

Borgesa. To straszy cios, pomyślałem. Tym się zapewne turbuje, dlatego jest taki napięty i milczący. Poza tym wcale nie pojechał do Olsztyna, tylko do Warszawy.

6.

Gdzieś w połowie maja 1974, kiedy Edek był na jednym z krótkich wyjazdów, przyszedł do mnie Bruno i długo skarżył się, że Stachura podkrada mu pomysły. Pomysły drobne i mało znaczące, ale nie małowartościowe. Od pewnego czasu czułem, że konflikt między tymi dwoma wspaniałymi poetami narasta. Najpierw chodziło o Stachurową gitarę, o którą Bruno „źle zadbał” i przekazał ją zdaje się Jurkowi Szatkowskiemu w Skokach. Potem o to, co któryś z nich o przyjacielu powiedział komuś nie tak, jak przyjaciel by chciał i powinien. Wreszcie teraz Bruno wyskoczył z pretensjami do mnie (to też charakterystyczne: ja miałem znosić cudze niesnaski!), że Stachura ukraść Brunowi Białą Lokomotywę oraz – nie dość że ukraść, to jeszcze zniekształcił, czyli zepsuł – powiedzenie „Długi jak miesiąc, chudy jak wypłata”, w którym zamiast przymiotnika „chudy” powinien występować dużo lepszy „szczipły”. „Jak w moim osobistym oryginale, z którego zostałem ograbiony” – dodał.

Ale też Bruno denerwował się, że jakiś niedowarzony krytyk (nie pamiętam już kto, nie był to jednak ktoś nieznanymi i nieobytymi; na pewno był głupio złośliwy), kompletnie nie rozumiejąc twórczości, ani poezji, ani prozy, twierdził, że Stachura jest chory psychicznie, bo zarówno *Cała jaskrawość*, jak i *Siekierzada* są w zasadzie pozbawione fabuły. „Bo to pierwszy raz w historii literatury jest proza bez «historyjek dla grzecznych kucharek»?” – wykrzykiwał Bruno, aż właścicielka domu, w którym wynajmowałem pokój, przerażona przybiegła z siekierą na górę i zapytała, czy nie trzeba w czymś pomóc. Bo raz zablokowały się drzwi i bez narzędzi się nie obyło. Bruno tylko wyciągnął w jej kierunku kieliszek. Nie trzeba było jej zachęcać, wypita i się zmyła. Konflikt Bruna i Stachury nie był zwyczajny. To nie były pretensje jednej pani do drugiej pani o to, że każda z nich jest panią. To był spór mężczyzn o poszerzonym spojrzeniu na świat.

Byłem tego świadkiem, ale nie uczestnikiem. Jeden przekazywał informacje drugiemu i ja je zawoziłem albo na Rębkowską w Warszawie, albo na Kalinkową w Grudziądzu, i z powrotem.

W następnych latach, kiedy z wojska szczęśliwie wyszedłem na zawsze, o sporze ani na chwilę nie zapomniałem, bo mi panowie nie pozwolili. W połowie lat siedemdziesiątych Bruno w Grudziądzu bywał już bardzo rzadko. Od żony odciął się tomem o znaczącym tytule „Jesteś dla mnie taka umarła”, z którego to zbiorku wynika jednak, że był z nią związany niezwykle silnie, zarówno emocjonalnie, jak rozumowo i uczuciowo. To zdumiewająca książka o tym, jak poprzez wyrażanie niechęci, kpiny czy nienawiści można wyrazić miłość. Być może prawdziwiej, niż oznajmiając ją wprost.

Podobnie wyglądał spór Bruna i Edka. Mówili sobie i o sobie okropne rzeczy, ale za tym kryło się coś innego: uwielbienie dla umysłu, serca i w ogóle osoby przyjaciela. W pewnym momencie Bruno zamieszkał w pracowni rzeźbiarsko-jubilerskiej mojej żony Małgosi. On i Edek parę razy użyli mnie jako postać. Telefonowanie do mnie do szpitala albo odszukiwanie mnie w kawiarni w Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu, wypowiedzenie kwestii i

oczekiwanie na odpowiedź adwersarza. A ja jako ten telegraf na nogach. Sprawę później ułatwiło to, że od 1976 r. miałem już telefon w domu, tak jak Stachura. Nie chcieli uwiecznić treści na piśmie, wobec czego nic z tych komunikatów nie pamiętam. Były to zresztą kwestie i słowa zupełnie nieważne. Oni się wyżywali – miałem wrażenie – na mnie, a ja jako lekarz, przyzwyczajony do ludzkich idiotyzmów, jedynie ćwiczyłem stoicki spokój. Bruno ciężko znosił oddalenie od domu, to go wprawiało w niezwykłą nerwowość. Szukał partnerki, szukał ciepłego domu, w którym mógłby się cieszyć – czymkolwiek – ale to nie było marzenie realne. Pociąg Bruna do alkoholu powodował, że kobiety go unikały, a panowie też się specjalnie nie chcieli bratać.

Edek grywał w szachy na pieniądze albo umawiał się na pokera. Po to przychodził czasem do Związku Literatów i przesiadywał w kawiarni Domu Literatury. Musiał jakoś zarobić i to mu wychodziło całkiem nieźle, bo rzadko przegrywał. Widziałem go w akcji w tej kawiarni, ale także w mieszkaniu na poddaszu przy ul. Podwale (pamiętam nazwisko właścicieli tej siedziby, ale to nie ma nic do rzeczy), kiedy doszedł do finału warszawskiego, czy może nawet ogólnopolskiego turnieju pokera, w którym zmierzył się z Ireneuszem Ireduńskim. Nie jest istotne (a poza tym nie pamiętam), kto z nich wygrał, z obydwoma się przyjaźniłem i wołałbym, aby zwycięzca został zarówno Irek, jak i Sted, ale jedno jest pewne: na każdym kibicu musiałyby zrobić wrażenie „ogólnopolskie” postaci, które się tej rozgrywce przyglądały. Jakieś dwadzieścia osób – jak się to mówi – z pierwszych stron gazet. Ludzie z najwyższej ówczesnej półki kultury i władzy. A ci dwaj jak gdyby nigdy nic – bluffowali ile wlezie.

Parę dni po turnieju pokera nastąpił czwartek, który zapamiętam do końca życia.

Zobaczyłem pijanego Bruna, zataczającego się środkiem ulicy Miodowej. Teraz było wyraźnie widać, że dodatkowo ma zaburzenia ruchowe z powodu chondrodysplazji, na którą cierpiał od wczesnej młodości. Choroba ta polega na przeroście tkanki chrzęstnej, w wypadku Bruna dotyczyło to chrząstek stawów ręki i nogi. Zamówiłem taksówkę i płacąc z góry, wystąpiłem go do pracowni Gosi na ulicę Nieporęcką. Trochę zdenerwowany poszedłem odetchnąć do kawiarni „Poziomka” (zastąpionej w latach 90. przez inną kawiarnię) na rogu Miodowej i Krakowskiego Przedmieścia, ale odpoczynek nie był mi dany. Przy jednym ze stolików spał całkowicie pijany, ale za to słynny poeta Aleksander Jurewicz⁴³, zwany przeze mnie Olem, urodzony w Lidzie, mieszkający w Gdańsku. Znałem go świetnie, parę razy zatrzymywał się u mnie w domu. Trzymał w ręku kartkę, którą odgiąwszy mu kciuk, wyjąłem i odczytałem: „Przyszedłem na umówione spotkanie, ale zastałem Pana jako wiotką kłodę. Edward Stachura”.

Aha, czyli się nie zobaczyli, bo Olo czegoś nadużył, zapewne zaufania Stachury. Olo nie reagował również na mnie, dlatego poszedłem do Związku Literatów, ale przy wejściu do Domu Literatury wpadłem właśnie na Steda.

„Zamówiłem auto lepsze niż ty dla Bruna” – oznajmił.

Z jego słów wynikało, że widział scenę z taksówką dla przyjaciela.

⁴³ Aleksander Jurewicz (ur. 1952) – poeta, prozaik.

„Dlaczego nie podszedłeś?” – zapytałem.

„Bo nie” – odparł całkiem sensownie.

Znaczyło to, że mam dalej nie pytać o to, ale mogę o co innego.

„Dokąd ty jedziesz?”.

„Do szpitala imienia Orłowskiego na Rozbrat, tam leży Wacek Tkaczuk, chyba mu wycięli nerkę, bo nie płuco, gdyż jednego płuca też już nie ma”.

Po chwili przed wejście na schody ruchome, tam, gdzie są wrota Domu Literatury, podjechał długi mercedes z sześcioma drzwiami, taki jakim jeżdżą aktorki amerykańskie w Hollywoodzie oraz bogate pary narzeczeńskie do polskiego ślubu. Biały, okazały. Usiedliśmy na samym tyle, żeby w czasie jazdy mieć przed sobą samochodową przestrzeń i móc krzyknąć do kierowcy, że nie musi się spieszyć, bo ma być dostojnie. Edek, bywały w świecie literat, wiedział jak się takie rzeczy urządza. W aucie wyjął długiego papierosa, ale mnie nie poczęstował. „Nie zapalę go, bo nie mam drugiego, a nie lubię delektować się pojedynczo” – zachichotał diabelskim śmiechem i klepnął z całej siły w ramię.

„Najważniejsze, że Wacek żyje!”.

Tkaczuk, wspaniały poeta, niebywały wręcz znawca poezji polskiej i światowej, był w stanie opłakanym, ale nie beznadziejnym. Skórę miał świeżą, czystą, zdrową. W klinice spotkałem znajomego lekarza, kolegę ze studiów i dowiedziałem się wszystkiego, co w Wacku było ważne medycznie. Przejrzeliśmy dokumentację. Edek z atencją przyglądał się, co robimy.

„Pożyje” – powiedziałem w końcu.

Ze zdobytej przed chwilą wiedzy mogłem wnioskować, że jeszcze długo. Doktor odparł:

„Jeżeli ci tak na tym zależy, to czemu nie? Może i czterdzieści lat” (i tak się stało, Wacek zmarł na początku 2018).

Stachura parsknął śmiechem. Po chwili twarz mu się zmarszczyła w bólu.

„Tylko Janka żal” – mruknął.

Tak, Janek Czopik-Leżachowski to był jeden z niewielu jego ważnych przyjaciół. Jego i Wacka też, znali się z Polskiego Radia. Kto wie, czy nie najważniejszy. Zginął w wypadku samochodowym w grudniu 1977, wracając z imienin matki. Wiadomo, że dopadł go zawał serca. Stracił przytomność. Zjechał na drugą stronę jezdni. A dopiero co z żoną Majką, lekarzem stomatologiem, zaczął się urządzać w Warszawie. Teraz Edek spojrzął na mnie, widziałem, że wie, że myślę o Janku.

Góra – dół – powiedziałem, nawiązując do tytułu powieści Leżachowskiego.

To był mocny dzień, ale miał być dalszy ciąg. Już chciałem jechać do domu, gdy koło godziny siedemnastej w Związku Literatów znaleźli mnie ludzie ze Szpitala Wolskiego (ul. Kasprzaka 17), gdzie pracowałem, tego samego, w którym na moim oddziale Janusz Anderman pisał jedną ze swoich książek (*Gra na zwłokę*), i poprosili, żebym objął dyżur nocny, bo zaniemógł kolega i ktoś musi go zastąpić. Ktoś, to znaczy ja.

Kwiecień 1979 r. Zadzwoił Ziemowit Feddecki, redaktor działu poezji w „Twórczości”, i bez wstępów zawiadomił mnie, że Edek Stachura jest w Drewnicy. Najpierw był w Łowiczu, wpadł pod pociąg, który mu obciął cztery palce u prawej ręki. Z Łowicza, miasta Marty Kucharskiej, został przy jej udziale przeniesiony do Drewnicy, ponieważ ma zespół urojeniowo-omamowy. Ma też bardzo obniżony nastrój. Niedługo wychodzi. Czy mogę tam pojechać? Nie mogłem. Ale po paru dniach zadzwoniłem na Rębkowską i o dziwo słuchawkę podniósł Edek. Więc go wypuścili?

„Ale nie jak z więzienia, tam było dobrze, tylko ja tego nie wytrzymałem” – tak to mniej więcej określił.

Coś podkłamywał, tylko że nie było sensu dociekać prawdy. Miał prawo tworzyć wizję samego siebie, taką jaką chciał. O nic nie prosił, niczego ode mnie nie chciał, tylko powiedział, że wszystko opowie, jak się zobaczymy. Najbardziej dokuczala mu ręka. I to nie fakt, że została trwale uszkodzona, że jej brakuje w wizerunku silnego ciała, ani że usilnie uczy się pisania lewą. Bolało go to, że ją stracił, sam ten fakt. Odbierał to niemal jak potwarz.

Podobnie skarżył się na redakcję „Twórczości”, że nie chciała drukować jego tekstów bez nazwiska. Dopominał się tego już kiedyś przy *Kropce nad ypsilonem*, a potem przy tekstach poetyckich niepoetyckich prozą nieprozą *Fabula rasa* i *Oto*. Powiedział, że to skandal, bo te utwory, zwłaszcza dwa ostatnie już w czasie pisania nie należały do niego. On jest tylko posłańcem. Powiedział, że zadzwoni, jak będzie mógł ze mną rozmawiać osobiście, bo na razie musi jechać do Aleksandrowa do matki i tak dalej.

„Matka i tak dalej bardzo się niepokoi, a ojciec musi być zaspokojony. Muszę coś zrobić, na co mnie nie było stać przez całe długie dorosłe życie” – tak powiedział i odłożył słuchawkę.

Z Zakładu Historii Medycyny, w którym wtedy byłem i gdzie miałem pełny etat (w przeciwieństwie do oddziału chorób wewnętrznych w Szpitalu Wolskim, gdzie miałem pół etatu) ruszyłem w poszukiwaniu Zyty Orszyn, najpierw gdzieś chyba na Hożą, ale jej nie zastałem, potem do Związku Literatów Polskich, gdzie sekretarka zarządu pani Wanda Wojnicz wyszukała pozostałe możliwe do wykorzystania adresy. Edek wcześniej złożył w jej biurze prośbę o skreślenie z listy członków ZLP, powiedziano mu, że jest skreślony, ale decyzji Zarządu Głównego w tej sprawie nigdy nie było. Sprawę potraktowano po lekarsku, wszak w ZLP było wielu lekarzy, w tym psychiatrów, byli też psycholodzy, więc prezes Jarosław Iwaszkiewicz po szybkich konsultacjach ani myślał stawiać sprawy na posiedzeniu Zarządu. Stachura miał więc status, który na wzór watykański można by nazwać członkiem *in pectore*. Pytałem o to Leszka Proroka⁴⁴, czy były już takie przypadki. Odparł, że owszem, takim członkiem ZLP, którego nigdy nie pytano, czy chce albo nie chce nim być, był Czesław Miłosz. Kiedy dostał nagrodę Nobla, nikt go o przynależność nie pytał, bo było jasne, że jest. W rzeczywistości i nawet trochę wbrew niemu takim członkiem ZLP pozostał do śmierci także Stachura.

⁴⁴ Leszek Prorok (1919-1984) – prozaik, eseista, dramaturg.

„Co nim kierowało?” – pytała Wanda Wojnicz o sens decyzji Edka. Nie mieściło jej się w głowie, a była inteligentna i doświadczona, że ktoś może chcieć zrezygnować z tak prestiżowo ważnej pozycji jak członkostwo w tak istotnej organizacji jak ZLP, której tyle się zawdzięcza, i to w dodatku zrezygnować bez powodu politycznego albo moralnego.

8.

Otóż Stachura zrezygnował z członkostwa ZLP ze względu na swój stosunek do ludzi, albo (lepiej) do ludzkości, do swego rodzaju więzi społecznych, które w odniesieniu do własnej osoby przestał uznawać, gdyż tkwienie w „błędzie przynależności” traktował jako „tragicznie egoistyczne”.

Wszystko zgodnie z koncepcją, której istotą jest, nazwijmy to wywoławczo, „człowiek-nikt” ze wszystkimi opisanymi w *Fabula rasa* atrybutami i odcieniami cech. Uznał, że na członkostwo nie zasługuje i nie jest w społeczeństwie ani organizacji członkiem, który ma jakieś prawa. Co więcej, w takim ujęciu rodzi się paradoks przez to, że wspiął się na wyżyny, które mu pozwoliły napisać *Fabula rasa* i *Oto*, i przez to stracił z tego wysokiego miejsca (wysoko umieszczonego, ale niekoniecznie nobilitującego, niczym platforma budowlana) kontakt z tym, co przyziemne. Stachura nie dostrzegał tej sprzeczności, tego rozdźwięku między niską pozycją nieuznania za członka „zwyczajnej społeczności” a wysoką pozycją owej drabiny, bo tylko twórca może na niej stanąć, a twórca z założenia nie jest nikim.

Nie wiem, czy czuł się panem bogiem (nowym Chrystusem?), czy prorokiem (również Chrystusem, ale rozumianym po islamsku?). Mówił, że jest nikim, jest zerem, ale tak jak istnieje próżnia, która nie istnieje; która jest i bez której nie możemy się obejść; która jest jednocześnie zerowa i jednocześnie niezwykle ważna, a więc funkcjonująca, a więc niezerowa.

Na marginesie:

Miał rację również z punktu widzenia fizyki. Dziś odzywają się coraz głośniejsi ci, którzy znajdują prawa matematyczne rządzące próżnią. Myślę, że Stachura to przewidział. Bo tak jak nielogiczne jest nieuznawanie istnienia Boga, tak nielogiczne jest nieuznawanie funkcji próżni. A jeśli coś ma funkcję i działa, jest tłem albo ośrodkiem czegoś innego, to jest, istnieje; to jest czymś, a nie niczym. Człowiek-nikt nie jest nikim, tylko jest człowiekiem-nikt. Tych Stachurowych ludzi z dywizem trzeba zresztą porządnie wreszcie opisać.

Nie na marginesie:

Związki logiczne są naruszone również w tezie, że on (Stachura) może być jedynie wykonawcą życzeń stawianych przez świat, nigdy kimś, kto komukolwiek coś narzuca, gdyż właśnie pisząc tekst typu *Oto* daje instrukcje, liczne wskazania (na przykład: jak o tym czy tamtym myśleć; na przykład jaka jest różnica między rozrywką a zabawą, bo to są dwa różne zjawiska i pojęcia, i słowa też), a więc narzuca coś innym. Jest Stachura kimś, kto nie narzuca się z niczym, ale ma obowiązek robić to, co mu organizm i myśl nakazują. Ma pisać. Błędne koło, nikt robiłby nic, ale nie robi nic, tylko coś.

Czy na pewno? Stachura zostawia swoje teksty potomnym. Nie słyszałem o żadnych analizach filozoficznych jego twórczości. To duży błąd literaturoznawców i krytyków. To powoduje, że o Stachurze wielu mówi z przekąsem i bez szacunku, i nie ceni go, bo już nie żyje. Po prostu nie przeczytali od deski do deski tego, co napisał. A powinni. Być może trzeba by odrzucić balast ornamentyki i najpierw sporządzić rejestr jego tez, pojęć, wskazań, znaków, symboli, a potem próbować uporządkować całość, aby uzyskać esencję filozofii Stachury. Stachura był poetą, nie filozofem, ale filozofię uprawiał. To jest poza dyskusją. Więcej, daje wnioski, daje opisy, ale nie ma między nimi środka łączącego. Uważał może, że to niepotrzebne, ale nie wziął pod uwagę tego, że ludzie są niedomyślni, nawet ci tak zwani wielcy. Nie czują, nie rozumieją. To jest mylące.

Podobnie jak inny pan na „S”, Słowacki, który też daje popisy filozofii, filozofem nie będąc. Może klarowniejsze i pisane z większym znawstwem, ale czy *Król-Duch*⁴⁵ nie jest dziełem „wariackim”, które dopiero po precyzyjnych analizach daje się (od biedy i z biedą) interpretować? I mimo to dzieło to wywiera gigantyczne wrażenie na każdym, kto spróbował się w nie wgłębić. Na przykład na reżyserach i aktorach spektakli, w których wygłaszane są strofy *Króla-Ducha* – obezwładniające! A Stachura nie obezwładnia? Dlaczego nie? Ano dlatego, że nikt nie odważył się tego wystawić, najpierw rzecz jasna przeczytawszy. To są teksty fascynujące, obezwładniające!

A przecież ponadto: *Król-Duch* i *Genesis z Ducha* są zbiorami rozważań niepozbawionych sprzeczności i nieomówień, „odlotów i odjazdów”, i wreszcie figur strzelistych, nieprecyzyjnych modlitw czy metafor niezrozumiałych, bo pogubiły się konteksty – a nie konstrukcji takich, jakie dawali filozofowie nieprzesłaniający logiki poezją.

„Stachura Edward człowiek-nikt” – powiedział Sted pewnego dnia, imitując swoje przedstawianie się – „ale pisze się to, jeśli już jakaś władza zechce pisać wbrew mojemu protestowi: «stachura edward» małymi czcionkami. Powiedz im to, bo nie wiedzą, co czynią, kalając moje dzieła moim nazwiskiem, i to pisany czcionkami wielkimi jak woły, jak słońce, jak wieloryby”.

Czy były to wizje chorobliwe? Nie odważyłbym się stawiać takiej tezy. Nie ma cienia podstaw. A jednak są tacy, którzy takie tezy stawiają i sądzą, że jest to bezbolesne. Nie, to tragiczne nieporozumienie.

Dnia 15 czerwca 2018, w Wikipedii, w artykule zatytułowanym *Cała jaskrawość*, ktoś, jakiś wikipedysta, powołując się na artykuł Jana Jędrzejczyka pt. *Choroba afektywna dwubiegunowa i jej związki z twórczością* drukowany w „Nowinach Psychologicznych” (PTPsych, Warszawa, 2008, s. 49), umieszcza taką oto bzdurę (i uważam to za tekst dla tej encyklopedii haniebny):

„W okresie pisania powieści chory już wtedy psychicznie autor przeprowadzał eksperyment polegający na rozkołtysaniu własnej psychiki oraz wprawieniu osobowości w stan

⁴⁵ *Król-Duch* i *Genesis z Ducha* to utwory Juliusza Słowackiego z okresu rozwijania przez niego filozofii genezyjskiej.

wysokich obrotów, co wskazywać mogło na stan manii, w jakim się wówczas znajdował. Potwierdzały to ostre reakcje na krytykę, pisane protesty i polemiki”.

Tak mógł napisać tylko ktoś, kto kompletnie nie rozumie twórców i twórczości, jej psychologii właśnie i walki autorów o swoje artystyczne, a często merytoryczne, najczęściej moralne i filozoficzne czy też po prostu rynkowe racje. W dodatku jest to wpis likwidatorski, bo usuwa całą dotychczasową wiedzę o chorobie Stachury, który jak wskazują fakty, zachorował w 1978 roku, a nie w 1967, kiedy pisał *Całą jaskrawość*, ani 1969-1970, kiedy w Meksyku tworzył *Siekierezadę*.

Patrzyłem na niego i milcząco zastanawiałem się, czy wolno mi cokolwiek mówić. Przychodziło mi na myśl, że nie. Stachura rozumował tak: jestem już u końca mojego dzieła. Teraz już mogę skorzystać z tego, co stworzyłem. Moje „Ja” to już niechybnie „człowiek-nikt”. Czy to jest przejaw jakiejś psychopatologii? Czy też osiągnięcia kresu? A może to taka sama koncepcja jak u stuletniego człowieka, który już nie chce żyć, bo wszystko, co miał tu zrobić, zrobił i nic go już nie interesuje? Tak było, jestem tego pewien.

Żaden inny czynnik nie miał tu znaczenia. Żaden. Jeśli jakiś interpretator życia Stachury obmyśla coś innego, to trzeba go z miejsca wyprowadzić z błędu. O co chodziło, zrozumiałem dopiero po dwóch następnych miesiącach, kiedy byłem po dziesiątkach godzin rozmów z Edkiem. Domyślałem się, ale wiadomo – między domysłem (hipotezą) a faktem (dowodzonym pewnikiem) znajduje się niebezpieczne miejsce na hipostazę (przedmiot fikcyjny, rzekomy fakt, pojęcie wymyślone, definicja spreparowana lub emocjonalna, a wszystko bezprawnie uznawane za prawdę).

To prawda, że w myśleniu Stachury można dostrzec sprzeczności, ale nie są one dyskwalifikujące. Przeciwnie, powinny skłaniać nie do niszczenia, ale rozwijania myśli poety, a w każdym razie i przynajmniej na początku – podejmowania prób zrozumienia, o co mu chodziło, jaka jest treść całej jego twórczości, i zauważenia, że jest to dzieło życia w ogromnym stopniu spójne. Nie ma w nim nic patologicznego, jak usiłują z nieprzemyśleń wywodzić pewni psycholodzy czy quasi-encyklopedyści.

9.

Na początku czerwca 1979 zadzwoniłem do Edka na Rębkowską. Po chwili podjechałem tam i w mieszkaniu Edka byłem pół godziny, spieszyłem się do pracy. Sted był bardzo zmęczony. Miał sinawe usta, kręcił w kółko ręką, z której został tylko kciuk. Pokazywał, jak ćwiczę pisanie lewą ręką. Ale prawa ciągle mu przeszkadzała, wpychała się zamiast tej drugiej. „Już trochę podtrenowałem, piszę o tym, jak muszę się godzić z tym światem. Piszę i inne rzeczy, ale sporo wyrzuciłem do kanału. Wyrzuciłem dowód osobisty, do kanału też. Nie jest mi potrzebny, tylko zaśmieca swoją urzędniczością. Chciałem dać komuś, kto przechodził, ale nie wziął, rzucił na ziemię jak coś śmierdzącego, śmiał się, jeden, zaraz potem i drugi. Ale tydzień wcześniej, jak dawałem ludziom pieniądze, to brali, bardzo chętnie. Dokumentów nie chcą”.

„Bruno nie żyje, utopił się” – powiedziałem.

Nie zareagował. Jakby nie słyszał.

„Umarł pod T. Nie byłem na pogrzebie, bo leżałem w szpitalu po operacji”.

Przeszedł do kuchni, ja za nim. Nalał świeżą herbatę, jeszcze była gorąca.

Powiedziałem, że mam adres zakładu rehabilitacji w Katowicach, w którym robią elektroniczne ręce i nogi, takie które reagują na to, co się pomyśli.

„Jadę do Katowic, tylko mi daj upoważnienie”.

„Dobrze, dam, jak przyjedziesz, za dwa dni”, bo teraz mało czasu.

Poprosił, żebym następnym razem pojechał na Podleśną, gdzie brat Ryszard, zwany przez niego „Milionerem” (bo ma stały dochód), użycza mu kawalerki. Następnym razem pojechałem więc tam. Blok i blokowisko. Typowy socjalistycznie szary, dość nowy, ale jak wszystkie mieszkaniowe budowle tamtego czasu od razu obskurny i wewnątrz ubogi blok z wielkiej betonowej płyty. Zieleni niemal brak, może fragmenty trawniczków, patyki, z których w przyszłości miały wyrosnąć rachityczne drzewa. Wjechałem swoją skodą niemal pod klatkę schodową. Dom kilkupiętrowy, a wewnątrz szare schody z lastriko i delikatne szare barierki. Szare drzwi mieszkań.

Sted był w podkoszulku i dżinsach, boso, z papierosem w ręku. Otworzył drzwi i nie cofnął się.

„Wiesz, dlaczego nikt nie wie, że tu jestem? – zapytał i od razu odpowiedział – bo nikt nie chce wiedzieć, wszyscy się boją tego, że nie wiedzą, co się ze mną dzieje. Jakby się dowiedzieli, toby się nie bali”.

„Bruno nie żyje” – powiedziałem.

„Dobra, wejdź”.

„Umarł pod T.”.

„Wiem, mówięś, utopił się. Toruń taki przyjazny, a pod Toruniem ludzie się topią”.

„Ale to Bruno, Sted, twój stary przyjaciel”.

„Bardzo stary przyjaciel”.

Powiedział to i widać było, że o Brunie nie chce wspominać w żaden sposób. Zrobił wyraźny ruch ręką przed sobą, że przekreśla ten temat. A potem pionowo, że stawia na nim krzyż. Albo krzyżyk, bo kącik ust zdrzął mu w kiefującym uśmiechu. Który zaraz zgasł.

„Robotnicy strajkują w Gdańsku i nie tylko. W stoczni” – powiedziałem.

„Dobrze”.

„To będzie się powtarzać, bo mają dosyć. Pamiętają grudzień 1970. Z tego może być rewolta”.

„Dobrze. System jest zły, to strajkują. System jest absolutnie niezastąpionym trupem. Bo ten trup jest nieśmiertelny. – To ostatnie zdanie było cytatem z *Fabula rasa*, Edek się tym zachwyił. Zaśmiał się wręcz, z nutką goryczy. – Pamięć mam dobrą. A myślałem, że mam złą. Chociaż leki przeszkadzają jak cholera. Są idioci, którzy mają fenomenalną pamięć. Korzystają z pamięci tylko do pamiętania, ale to i tak jest wielka umiejętność, bo znam tylu myślących, którzy niczego nie są w stanie zapamiętać. I to dopiero jest skaza na narodzie”.

10.

Po każdej wizycie, kiedy Edward zamykał za mną drzwi, stawałem przy nich i nanosiłem sygnały rozmów, znaki stenograficzne, bo wszystko umyka, ucieka jak woda z kranu. W tym miejscu moje notatki i steno-znaczkę w kalendarzyku dotyczyły pewnych intymnych wynurzeń Stachury; muszę je pominąć. Tak będzie jeszcze kilka razy. Tego odtworzyć się nie da ani psychicznie, ani psychofizycznie, ani fizycznie – nie mogę. Charakterystyka kilku osób, które w chwili pisania tych słów wciąż żyją, mają się dobrze, oby żyły jak najdłużej, a moim zdaniem nie zasługują na krytykę, nie pozwala na publikowanie takiej materii. Edward mówił mi to wszystko niepewny swych ocen i miał pełne zaufanie, że go nie zawiodę nawet po czterdziestu latach, nie mówiąc o stu. Czterdzieści lat; pamięć nie wygasa, ale układa, gładzi, potakuje, liże po twarzy jak doborowy pies, który pilnuje domu. Chcesz, to rozum to po swojemu...

11.

Tak, najpierw jazda ze szpitala, który jest na W., przez Ś. na Ż., a stamtąd, kiedy już się wizyta obustronnie nasyci mną i Stedem oraz Stedem i mną, (część druga) z Ż., poprzez PPłd., W., M. do Międzyzlesia. Trasę z W. na Ż., czyli do mieszkania Milionera Stachury pokonywałem autem z zamkniętymi oczami. Jadąc, zastanawiałem się z lękiem, co i jak mam odpowiedzieć na ostatnie pytanie, które mi zadał w czasie ostatniego spotkania na Podlesnej. To nie było pytanie „straszne”, tylko trudne, a brzmiało:

„Jakich sposobów ludzie się imają, kiedy chcą siebie zabić?”.

Przecież wiedziałem. Z samobójstwa celując odpowiadalem kiedyś na egzaminie u profesora Widy-Wirskiego z medycyny sądowej (stopień trochę mi osłabiła teoria zatrucia tlenkiem węgla i cyjankiem potasu, w sumie wyszła mocna czwórka, ale samobójca dałem doskonałego i to mi uratowało ocenę ogólną). Jechało się do Steda bardzo ciężko, coraz ciężiej. Im bliżej, tym trudniej. Ale tym razem nie zadawał pytań, bo mając pamięć doskonałą, pamiętał, o co zapytał i o czym mam pamiętać ja.

„Człowiek musi odjechać, jeżeli to, co po nim zostaje, ma zostać” – powiedział w końcu na przywitanie. I dla zachęty.

Tak, widziałem setki, a może i z tysiąc by się uzbierało, samobójców niedoszłych. Najbliżej mi było z pamięcią Basi Sadowskiej, którą widziałem w stanie para-agonalnym dwukrotnie. Cóż to za stan? (W twarzy Edka widziałem żywe zainteresowanie, bo Basia była dla niego kimś niesłychanie ważnym; sama zresztą o nim nieraz długo mówiła, kiedy przyjeżdżała obdarować czymś moją córkę Justynkę, którą kochała jako dziewczynkę, gdyż miała tylko syna). To stan taki, że do śmierci nie doszło, choć już stała w progu. Barbara miała w mózgu glejaki, które jej skutecznie zoperowano, i uważała, że z tego powodu jest bardziej śmiertelna niż inni. [Istotnie, zabił ją nowotwór, rak płuc, szpital w Otwocku, 1986]. Pewnego dnia szedłem do biblioteki Akademii Medycznej na skrót z Nowogrodzkiej przez szpital, żeby wyjść na ulicę Wojciecha Oczki, kiedy w łóżku na korytarzu Kliniki Chorób Wewnętrznych profesora Januszewicza

zobaczyłem znajomą twarz. Właśnie to była Basia. Do niej podłączona kroplówka. Stał tam lekarz z kilkoma studentami i coś im klarował.

„To nie była próba, naprawdę chciałam odejść – powiedziała nagle, widząc, że też tam stoję. I natychmiast dodała – Dziękuję, wszystkim dziękuję”.

Po czym chwyciła mnie za rękę i się odwróciła do ściany.

[Mogłem tu o tym wspomnieć, bo nigdy tego zdarzenia nie ukrywała, wszyscy w środowisku literackim o nim wiedzieli].

To opowiedziałem Edwardowi. Był poruszony. Powtórzyłem:

„Ona dziękowała za życie. Powtórz!”.

Uśmiechnął się, uznał, że to dziwaczne, a nawet infantylne, żeby po mnie powtarzać jakieś zaklęcia.

„Co to było?” – zapytał.

„Myślę, że jakieś chemikalia, pewnie lekarstwa”.

„Ach tak, prawda, lekarstwa to trucizny w małej ilości”.

Dodałem:

„Zatrucić można się na przykład cukrem, solą albo kwaskiem cytrynowym, wszystko zależy od ilości”.

„Skąd wiadomo, jaka ilość jest śmiertelna?”.

„Z tabel. W opisach substancji podaje się DL_{50} (po łacinie *dosis letalis 50*), czyli dawkę, która zabija pięćdziesiąt procent osób nią zatrutych. I tak dalej. To wskaźniki toksyczności”.

„Gdzie takie tabele mają?”.

„Na przykład w Instytucie Leków”.

„Gdzie się znajduje ten Instytut?”.

„Nie wiem, ale jak chcesz, to się dowiem”.

„Nie, bo jak zacznę pytać, to mnie znowu zamkną w Drewnicy. A nie chcę – zaśmiał się. – Nie, żartuję. Ja się ich nie boję, bo tam nie ma żadnych straży, jak ktoś chce, to może uciec bez trudności. Jak ja”.

„Jak ty – ucieczka z życia, tak?”.

„Nie. Męczy mnie smutek i beznadzieja”.

Czasem przynosiłem jeszcze ciepłe parówki w bułce, tak zwane hot-dogi, czasem coś innego do jedzenia, bo widziałem, że on coraz bardziej chudnie. Dosłownie ginął w oczach. Nie był gruby, a brzuch mu zaczynał wisieć.

„Ja tam muszę z wami do tej Drewnicy pojechać, bo mi się nie podoba, że masz denny nastrój – powiedziałem. – Ziemek nie będzie miał nic przeciwko?”.

Ale Ziemowit Fedeki miał przeciwko, z lekka zazdrosny o wpływy, ale też lepszy w tej misji, bo już znał lekarki w tym szpitalu. Stanowczo zastrzegł, że od wożenia Edka jest on i nikt więcej. No dobra, pomyślałem, ale niech nie zapomni powiedzieć o depresji Steda.

Fedecki to był porządny gość, nie zapomniał. Potrafił poetom na własną rękę, bez pytania poprawiać wiersze, ale zawsze robił to dobrze, więc i tu miałem do niego zaufanie. Rozmowę telefoniczną jak zwykle przeciągnął do dwóch godzin, a mówił powoli i niezwykle solidnie, bez nawet jednego błędu językowego, no i głośno rozpatrywał swoje własne stany zdrowotno-chorobowe, oczekując moich opinii. To był taki rytuał jeszcze z lat siedemdziesiątych, ale dzięki temu wiedziałem, co się dzieje w „Twórczości”, ZLP, Komitecie Centralnym PZPR-u, na warszawskich Wyścigach Konnych i w warsztacie samochodowym naprawiającym auta marki Škoda.

Dwa dni później już jechali do Drewnicy na sprawdzenie stanu rzeczy. Zmieniono mu jeden z leków i teraz brał dwie pochodne fenotiazyny, ogłupiające i nadal wpędzające w depresję. Jeśli miał obniżony nastrój, aż do stanu zagrażającego śmiercią, to przez te leki. Byłem na te lekarki wściekły. Zrobiłem wywiad wśród znajomych psychiatrów. „Jak mu zmniejszysz albo zmienisz, to wyjdzie na to samo” – powiedzieli. Sytuacja patowa. „Najlepiej, żeby został w oddziale pod obserwacją”.

Ale Edek nie chciał. Został na obserwacji i już następnego dnia zabrał się do domu. Miał coś do napisania? czy były inne powody? Pisał tekst nazwany później przez pozostałych *Pogodzić się ze światem*. Być może to (do czasu) trzymało go przy życiu? Ziemek Fedecki ustalił z Marianem Grześczakiem gryplan wożenia Steda do szpitala i projekt byłby się spełnił, gdyby nie opór samego Steda.

12.

„Kiedyś jeździł motocyklem, ale się postarzał i z tej cudownej maszyny zrezygnował. Czasem mnie podwiózł, wiatr we włosach, to były piękne jazdy – powiedział Edek pewnego dnia o Ziemku. – A powiedz mi jeszcze, co to jest śmierć przez powieszenie”.

O matko!

„Chodzi mi o mechanizm, co się wtedy dzieje? Dlaczego faceci mają wtedy wytrysk?”. – Pytał coraz bardziej szczegółowo.

Odpowiadałem. Miałem przestać przychodzić, żeby nie odpowiadać? Bardzo mnie interesowało to, co się dzieje w Polsce, podskórne ruchy, marzenie o tym, żeby komuna przerodziła się w coś ją imitującego, ale już nie komunistycznego. Zagadałem kilka razy na ten temat, ale on aż wrzasnął, dosłownie ryknął:

„To ty widzisz ojczyznę tak wąsko?”.

„Jak to wąsko? Widzę nie wąsko, ale blisko, jestem odpowiedzialny za to, co się tu dzieje”.

„A ja jestem – mówił naprawdę głośno, że aż się bałem, że sąsiedzi zaczną pukać w ściany, bo było tuż przed północą – odpowiedzialny za to co się dzieje tu i co się dzieje tam, gdzie nie wiem, co jest, ale dokąd moja odpowiedzialność na pewno dociera”.

Nie bardzo rozumiałem jego wywody, bo było to dość chaotyczne; zdania oderwane, ale z pewnością w jego umyśle układały się logicznie. Wiedział, co mówi, broń Boże nie był odurzony chlorpromazyną, którą brał regularnie. Zdążył się do niej przyzwycząić? Trudno orzec, leki

psychotropowe nie są pewne ani co do „ścieżki działania”, ani co do efektów niepożądanych. Na każdego działają trochę inaczej. Któregoś dnia przestają jednak utrudniać rozumowanie i pamięć też może się odblokowywać. W każdym razie u Steda musiało tak być, bo niektóre wywody miał znakomite. Czasem nagle przerywał, jakby w przepustach jego mózgu stawał jakiś orzech i zatykał strumień.

„Nic nie pamiętam! A wiedziałem, wiedziałem, ja przecież wszystkie testy i quizy, krzyżówki rozwiązywałem w mig tak, że mi nigdy nie sprawiały zbytnej przyjemności. Nie cenię krzyżówkowiczów. Ale inne łamaczki głowy mi się podobają, a najbardziej szachy. Nie wiem, co ludzie widzą w warcabach, to dopiero gra dla głupców! A szachy nie. Poker nie, bo tylko pozornie jest losowy. Poker jest psychologiczny. Brydż nie dla głupich. Tysiąc dla idiotów. Kanasta nie. Makao dla idiotów, całkiem losowa gra. Nie ma za bardzo w czym wybierać, dlatego wybieram szachy albo obserwację chmur, bo nigdy nie widziałem dwóch takich samych”.

Już się cieszyłem, że zaczęliśmy mówić o grach, to pasjonująca przecież dziedzina, kiedy nagle zapytał:

„A skok z wysokości? Mam swoje zdanie, ale jestem ciekaw twojego. To nie dla mnie, ale powiedz”.

„Ja bym tego nie zrobił, bałbym się, że w czasie lotu zmienię zdanie i będzie za późno” – odparłem.

„Czy ty sądzisz, że «Kropką nad ypsilonem» wyłamam się ze swojej jedni?” – zapytał.

„Dlaczego?”.

„Tak słyszałem. Wyłamam się, jak to mówią, idiotyczną wyliczanką, a właśnie to jest bardzo mądra, klimatyczna wyliczanka, która ma sens nie tylko w treści, bardzo ważny, ale i w formie. U mnie forma nie ma dużego znaczenia, ale w «Kropce» wyjątkowo ma ogromne. Niektórzy tego nie czują. – Zastanawiał się przez chwilę, ale widać było, że chce powiedzieć coś, co ja miałbym przekazać innym [i co przez lata później robiłem]. – «Missa pagana» nie jest kluczowa. Jest uspokajająca, jest dla tych, co nie uwierzyli w Boga, ale mogą uwierzyć w Boga, bo Bóg w tej mszy nie zaginął. Tak, przyjrzyj się, nie zaginął, bo ja nie wiem, czy Bóg jest, czy go nie ma. Raczej jest i raczej nie ma”. – Powstrzymał oddech, jakby zrobiło mu się duszno. – Czyli ja bym z Pałacu Kultury na łeb nie skoczył. I ty też”.

Był w złej kondycji ogólnej. Nie chciał iść na spacer, ale musiał chodzić do sklepu. Ten przymus był bardzo nieprzyjemny, chciał się go pozbyć, więc raz poszedłem ja. Nawet nie uzgadniał się, co kupię. Coś do jedzenia i picia. Po zjedzeniu i napiciu się (nie wolno mu było pić takich rzeczy jak piwo czy wino z powodu leków, które brał, a i ja nie mogłem z powodu samochodu, co nam specjalnie nie wadziło, bo w mieszkaniu było strasznie gorąco mimo otwartego okna; a może właśnie dlatego, z dworu nawiewał upał...) zaczął mówić:

„O, częstochowskich rymów jasnogórska potęgo! – niemal wykrzyczał te słowa – więcej na pamięć nie znam, ale to jest utwór kluczowy, kropka nad ypsilonem, postawienie kropki nawet tam, gdzie jej zwyczajowo nie ma, abyście zrozumieli, jaka jest moja misja”.

Po chwili, po kilku kęsach bułki z serem:

„Schemacie, jak ty nie lubisz tych, co ci się wymykają, tych, co ich nie możesz... i tu następuje słynna, znana ci wyliczanka”.

Istotnie, w układaniu pewnych wyliczeń, zwłaszcza obelg, brałem udział, bo kiedyś rozmawialiśmy o tym, że Boy⁴⁶, przekładając François Rabelais’go na wersję polską, musiał sporządzić nową nadwiślańską, wymyśloną wyliczankę nazw narządów płciowych.

„Ale my nic nie wymyślaliśmy, nasze nazwy same przyszły – i nie odeszły”.

13.

„Pamiętasz? pamiętasz” – powiedział i po raz pierwszy od miesiąca się uśmiechnął. – „Ale mieli miny, kiedy to czytałem. Zdumieni, zawirowani. Ypsilon zakręca wokół siebie”.

Tak komentował reakcje publiczności i redaktorów miesięcznika „Twórczość”.

„Oni też mi tak robili, podsuwali swoje teksty absolutnie nieschematyczne, to walka ze standardem, ale tego mojego się nie spodziewali. Henio Bereza⁴⁷. A czasem kropkę nad wszystkim trzeba postawić”.

Poemat *Kropka nad ypsylonem* był specjalnie przygotowanym przez Stachurę dowodem na walkę ze schematem. Podobało mu się, że inni też to robią, nawet jeśli były to dokonania nie z jego strefy intelektualnej. Nie chciał, aby redakcja drukowała ten utwór pod jego nazwiskiem. Już się czuł człowiekiem-nikt. Nie posłuchali. Nie posłuchali też przy „Fabula rasa” ani przy „Oto”. Miał im to za złe. Zacisnął zęby, a potem zaczął opowiadać o jeszcze innych.

Wymienił teraz Marię Nurowską. Dopiero co, w roku 1977, wydała książkę nieschematyczną pod jakże znamienitym tytułem *Po tamtej stronie śmierć*, którą postanowiła zaprezentować na jednym z posiedzeń Koła Młodych przy ZLP. Grono Koła było znakomite, prawie wszyscy ówczesni jego członkowie są dziś znanymi artystami słowa, filmu, teatru, a nawet piosenki, tej trudniejszej. Jakieś trzydzieści osób. Janusz Anderman, który mieszkał wtedy u Steda na Rębkowskiej i chciał się zaczepić w Warszawie na stałe, już dwa dni wcześniej przypominał mi, że odbędzie się to spotkanie.

Było rzeczywiście interesująco, bo (moim zdaniem) *Po tamtej stronie śmierć* jest utworem znakomitym, w dorobku Marii chyba na najwyższym poziomie artystycznym. Mówiła ciekawie o książce i przede wszystkim jej pisaniu, miała mnóstwo zaskakujących informacji otaczających tekst i treść, opowieść o matce, o tym jak umierała, co się działo w duszy, sercu i głowie córki, jak to się układało w zapis. Ciekawe, ciekawe. Janusz był zachwycony. Zmienił miejsce z odległego stolika na najbliższy prelegentki, potem obok niej, potem razem wyszli z Domu Literatury i poszli na Marszałkowską, gdzie w ogromnym bloku na wysokim piętrze mieszkała Maria. I tak tam zostali, Janusz zabrał tylko rzeczy z Rębkowskiej. W pewnym momencie podzyrowałem im sporą pożyczkę, urządzali się.

⁴⁶ Tadeusz Boy-Żeleński (1874-1941) – krytyk teatralny i literacki, satyryk, publicysta, tłumacz.

⁴⁷ Henryk Bereza (1926-2012) – krytyk literacki, teoretyk literatury, eseista, wieloletni członek redakcji miesięcznika „Twórczość”.

Stachura wspomniał o tym i skwitował rzecz pytaniem, na które na pewno znał odpowiedź:

„Dlaczego mnie tak nie lubią? O innych wiem, dlaczego nie lubią, a dlaczego oni aż tak? Czuję to, ten chłód od ziemi”.

I przymknął boleśnie oczy. Po długiej chwili cierpienia znowu zapytał o pewną rzecz wprost. Siedziałem, a on wstał. I ja więc wstałem. Staliśmy, patrząc na siebie bez słowa. Wyjąłem papierosy. Tak, papieros to czasem zbawienie...

A było to w czasie naszego ostatniego spotkania w życiu.

Na marginesie:

Zaraz potem zaczęły się wakacje, był już lipiec, z Krzysztofem Machowskim⁴⁸ i jego panią oraz my z całą naszą rodziną, ja, Małgosia, dzieci, jechaliśmy autami na Śląsk w znane miejsca, w których można było znaleźć ciekawe minerały. Małgosia, która potrzebowała materiału do tworzenia swoich nieszablonych biżuterii, aż piszcziała z niecierpliwości, czekała niecierpliwie, kiedy znowu wbijemy kilof w jakiejś kopalni albo łopatkę na znanym nam polu, tam, gdzie są agaty, chryzoprazy, ametysty, jaspisy, heliotropy.

Nie na marginesie:

Opowiadałem o tych przygotowaniach, a on:

„Dobrze, a tonący? Czy samoutonięcie jest przykre?”.

Niechący powrócić do sprawy Bruna. Powiedziałem:

„Bruno utonął w jeziorze koło Torunia. Popłynął za daleko i nie wypłynął. Na oczach tłumu poetów”.

„Czy to było samobójstwo?”.

„Nie wiem. Chyba nie. Może tak. Był w tamtych dniach w dobrym humorze, choć szczególnie ostro krytyczny wobec mechanizmów tego padołu, napisał do mnie kartkę, ostatnią w życiu. Ale kiedy mieszkał u Małgosi w pracowni, odgrażał się, że wejdzie do Wisły i będzie tak szedł, szedł, aż go woda zakryje, a prąd porwie. Ale tak nie zrobił, choć, jak ją zwał, Małą Gośkę nieźle nastraszył. Przyjechała do domu roztrzęsiona i musieliśmy wracać do pracowni, żeby sprawdzić, czy Bruno przypadkiem sobie czegoś złego nie zrobił. Był w złym stanie, ale skoczyłem do baru na rogu Ząbkowskiej i Nieporęckiej i kupiłem cztery piwa. Trochę mu to wtedy pomogło. O Wiśle w ten sposób mówił jeszcze kilka razy, potem przeprowadził się do pewnej dziewczyny na Ochotę i nabrał manier, to znaczy kurzył fajkę, nie pił i pracował nad nowym tomikiem wierszy. Cekał na wydanie *Nie ma zegarów*, a w planach miał *Gwizdy w obecność...*”.

„Popłynął i nie wrócił. Męczył się. Uduślił się wodą. Ale wodą pitą z butelki nie można się udusić. Ani wódą też. Ani kropelkami na sen”. – Sted patrzył w sufit i mówiąc te słowa, myślał o czymś zupełnie innym. Brunem zupełnie się nie interesował albo udawał, że kumpel go nie

⁴⁸ Krzysztof Machowski (ur. 1946) – aktor teatralny i filmowy.

interesuje. Tam między nimi sprawy zaszły chyba za daleko, pozagrobowo, do rozliczenia na prawicy Boga Ojca.

„Napisał wiele tekstów dla ciebie – powiedziałem. – *List do przyjaciela w Meksyku, Dziedzictwo*⁴⁹, a i takie bez dedykacji”.

„Jerzemu Plucie i wielu innym też napisał. A ja jemu też”. – Nie chciał powiedzieć, jakie ma do Bruna pretensje. Ale powiedział coś zamiast tego, jakby dokładając do kontekstu Bruna i w związku z nim, mniej więcej tak..., w każdym razie ja to tak pamiętam..., o ile coś mi się nie podkoloryzowało, bo mam zanotowane w tamtych dniach tylko niektóre wyrażenia, już prawie nieczytelne, bo kalendarzyk, leżący na wierzchu w pudle, strasznie się wytarł. Często przez czterdzieści prawie lat brałem go do ręki. Są w nim adresy i miłe mi imiona. Są też poniżające i pouczające porażki, infantylne głupstwa, które zrobiłem, a przez które mało nie zginąłem, ale to już... Do strat należy Sted, już on to zrobił. Wiedziałem, że z niczego go nie wyleczę, chyba że z zapalenia paznokcia. Wiem, że chory, a ja, lekarz, nie wiem, jak sobie poradzić, aby chory nie był.

W każdym razie sens tego, co rzekł Sted, był taki:

„Nikt, dosłownie nikt, ty też, nie rozumie, nie wczuwa się, nie odbiera, o co mi chodzi, a ja nigdy, ale to nigdy i jestem gotów przysiąc, tylko nie mam na co przysięgać, bo życie choć święte niezniszczalne nie jest, nie odstąpiłem ani na krok, ani na rzut beretem, ani na milę od zasady, że wszystko ma się trzymać kupy, ma być sumą siebie i sobą sumy (tak powiedział: być sumą siebie i sobą sumy) bez jednego nawet odstępstwa, a kto (na przykład Julian Przyboś, plotący pochwalne, przez-mgłę-pisane bzdury o *Cafej jaskrawości*, absolutnie odizolowany od nowości i uważający nowość za starość) nie umie się w tym znaleźć. Wybacz, ale ja w taki sam sposób nie rozumiem twoich słuchowisk radiowych. Nie docierają do mnie, zwłaszcza ta twoja *Pustynia*. O co w niej chodziło, nie wiem. A inni wiedzą, inaczej by tego nie nagrali i kilka razy nie puszczała. Więc trzeba się wczuwać. Każdy ma taką sytuację. Kto nie umie się znaleźć w tym, co ja napisałem, ten przegrał wielki zakład o to, czy jestem w literaturze, czy mnie w literaturze nie ma. Ja jestem literaturą od a do z, w całości, nawet moja ślina, mój pot są literaturą, ząb i wątroba, i obawiam się, że znajdzie się zamachowiec, który spróbuje mnie z tego wypchnąć, jak zawsze i wszędzie – zamachowców bowiem sieją”.

„Sted – powiedziałem – miałem telefon z Katowic. Mają mieć dostawę rąk z Niemiec. Podpisz mi papier, zaraz wyślę. To są prototypy, więc nic nie będzie kosztować, pojedziesz raz czy dwa do tamtejszego zakładu”.

„Będę mógł pisać?”.

„Na pewno. To nowa generacja, problem polega tylko na dopasowaniu”.

„Nie mają tego bliżej, w Warszawie?”.

„Nie”.

⁴⁹ Wiersz *List z Polski do przyjaciela w Meksyku* ukazał się w tomiku *Podwójna należność* (1972), *Dziedzictwo* pochodzi ze zbioru *Poboki* (1971).

Podpisał, uśmiechnął się, przyklepał zdrową ręką.

Wysłałem poleconym, dołączając zdjęcia rentgenowskie i opinie dwóch ortopedów z Kliniki przy ul. Lindleya. I wyjechałem, będzie dobrze.

Śnił się.

14.

Dwudziesty czwarty lipca 1979. Byliśmy w Szklarach. Mamy cztery wielkie głązy nefrytu z wczorajszej wyprawy na Śnieżkę, a teraz całe pudło chryzoprazów zebranych w kopalni niklu. Piękne okazy. Serce rośnie. Teraz jesteśmy w Ząbkowicach Śląskich na stacji benzynowej. Krzysiek Machowski już zatankował i zapłacił, ja jeszcze płacę za swoje paliwo, odliczając końcówkę drobnych, wracam do samochodu, ale oni wyszli z pojazdów i stanęli gdzieś na boku. Podchodzę do nich, biorę synka za rękę i pytam, co się stało. Nie patrzą mi w oczy. Okradli nas? Samochód się zepsuł? Ale dzieci mówią:

„Powiedzieli w radiu: Edward Stachura nie żyje. W dniu dzisiejszym. Mama wysiadła z samochodu, wujek Krzysiek mówi, żeby ci nie mówić teraz, dopiero jak dojedziemy do hotelu. Mama pozwoliła powiedzieć, ale się boi i chce, żebyśmy teraz jeszcze nie jechali dalej, nigdzie”.